ŚWIAT



Nr. 45. DNIA 5 LISTOPADA 1932 ROKU

TREŚĆ:

ŚWIAT

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE
POD KIEROWNICTWEM NACZELNEM STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO
WARSZAWA, DNIA 5-go LISTOPADA 1932 ROKU
ROK XXVII • NR. 45 • CENA NUMERU 1 ZŁOTY

Dzieło Mussoliniego

W dziesiątą rocznicę zwycięstwa faszystów we Włoszech odbyły się wielkie uroczystości z udziałem Mussoliniego w Turynie, Medjolanie, Rzymie i t. d. Z tego powodu przypominamy w krótkości główne etapy wprowadzenia ustroju faszystowskiego i charakterystyczne jego cechy.

Lato r. 1922 było gorące we Włoszech. Silnemu już podówczas faszyzmowi urastały właśnie nogi olbrzyma i kroczył coraz szybciej do władzy, sam nie wiedząc jeszcze wtedy, że zdąża do czegoś większego, niż władza, bo do zupełnego przekształcenia włoskiego państwa i narodu.

Każdy więc dzień tegorocznej jesieni jest dla Włoch rocznicą jakiegoś ważnego faktu, których tylko podsumowaniem i oficjalnem stwierdzeniem był październikowy kongres faszystów w Neapolu, marsz na Rzym i powierzenie przez króla godności prezesa ministrów Mussoliniemu w dn. 30 października 1922 r.

Spoglądając wstecz na minioną lat dziesiątkę, tak samo włoscy przeciwnicy faszyzmu, jak sami faszyści, schodzą się na jednym punkcie i popełniają jeden i ten sam błąd. Zarówno sam Mussolini, jak np. hr. Sforza, były minister i dyplomata włoski, obecnie bawiący zagranicą, autor wielu książek antyfaszystowskich, zgadzają się, że faszyzm był typowo włoskim objawem, że nie miał odpowiedników i korzeni w reszcie świata cywilizowanego, że więc nie jest dla tego świata ani nauką, ani wzorem do naśladowania.

Kiedy jednak obrócimy lunetę astronomiczną w przeciwnym kierunku, ku gwieździe Mussoliniego, a nie od gwiazdy, otrzymujemy widok zupełnie odmienny: faszyzm staje się wtedy objawem ogólnego europejskiego, a nawet wszechświatowego prądu i sposobu myślenia.

Ten fenomen przygotowany był oddawna przez dziesiątki lat agitacji socjalistycznej, autorytatywnej i dogmatycznej, a skrystalizowała go wojna, która przyzwyczaiła społeczeństwa do żelaznej dyscypliny i kazała im nadal upatrywać w tej dyscyplinie, w bezkrytycznem poddawaniu się rozkazom jedyny środek ratunku wobec zagrażających ludzkości niebezpieczeństw. Zaczął się więc kult mistrzów, a mistrzem był ten, kto odpowiadał najlepiej owemu nastrojowi mistycznemu, a więc przynosił, choćby pozornie, coś nowego i kto się sam mistrzem mianował, jakgdyby był namaszczony przez jakąś nadziemską władzę.

Ten prąd, który w życie społeczne i narodowe wnosił, jako rozstrzygający czynnik, uczucie, nie ominął ani jednej dziedziny, realnej czy duchowej, zapanował tak samo w nauce, literaturze i sztuce, jak w życiu politycznem, robiąc z każdej teorji, z każdego hasła nowego po prostu religję, której nie wolno się sprzeciwiać, ani jej krytykować.

Religję więc uczyniono z teorji Einsteina, z psychoanalizy Freuda, niewidoczne i niewidziane witaminy stały się także religją tyrańską, a w literaturze ten sam prąd kazał kupować z nabożeństwem książki, które na tysiącu stron męczyły czytelnika pamiętnikiem ze szpitala warjatów.

W atmosferze tego mistycyzmu powszechnego wyrastały dyktatury, jak grzyby po deszczu. Po Sowietach, z których Mussolini czerpał kiedyś obficie i od których dziś się jeszcze nie odżegnuje, posyłając im np. jenerała Nobile, aby udoskonalał sowieckie lotnictwo, poszedł sam Mussolini z faszyzmem, a za nim Kemal Basza w Turcji, dyktatura w Hiszpanji, dyktatura w Jugosławji i rozmaitego rodzaju próby dyktatorskie w tylu innych krajach. Od tego prądu nie była wolna nawet Francja, pozornie jedyna, poza ogólnym zalewem, gdyż pozostawanie przez szereg lat Brianda na stanowisku ministra spraw zagranicznych i sprawowanie w ten sposób przez niego istotnych rządów, w czasie migawkowego zmieniania się różnobarwnych gabinetów, było niczem innem, jak wynikiem powszechnego kultu mistrzów.

W pozornej sprzeczności z takim duchem czasu są liczne w naszym okresie rewolucje. Ale, wedle nowych badań, rewolucje właśnie zawsze przeprowadzała mniejszość i to nieraz znikoma, złożona jednak z ludzi zdecydowanych i bezwzględnie oddanych mistrzowi, która dla jego kultu zdobywała całe społeczeństwa, albo przynajmniej zmuszała je do milczenia.

Takich właśnie rewolucji dokonali faszyści włoscy, którzy byliby może bardzo oburzeni, gdyby im w oczy powiedziano niezaprzeczoną prawdę, że stali się tylko objawem, a nie przyczyną, wielkiej przemiany dziejowej. Dopiero odpowiedź na pytanie, jak ogólnego ducha czasu wcielili, jak wykonali jego nakazy, idące w kierunku przymusu społecznego, będzie właściwym obrazem dzieła faszyzmu, lub, ściśle powiadając, Mussoliniego. Ogrom zaś tego dzieła jest niezaprzeczony i imponujący konsekwencją dla każdego, bez względu, czy jest zwolennikiem, czy przeciwnikiem faszyzmu.

Pierwszym kamieniem tego gmachu było udaremnienie rewolucji bolszewickiej we Włoszech. I tu znowu hr. Sforza myli się, że to było niepotrzebne, bo robotnicy, którzy już pozajmowali fabryki, okazali beznadziejną nieudolność w ich prowadzeniu, a społeczeństwo włoskie swoim charakterem nie nadawało się do powodzenia rewolucji.

Na przykładzie Sowietów widzimy, że nieudolność przemysłowa może się utrzymać przy władzy bardzo długo, a możliwości rewolucji we Włoszech dowodzi samo udanie się rewolucji Mussoliniego.



Nie odrazu jednak faszyzm trafił na właściwą sobie drogę. Organ Mussoliniego — „Il Popolo d'Italia" nosił zrazu dopisek pod tytułem „dziennik socjalistyczny", a pierwszy program faszystowski dzisiaj należy we Włoszech do książek najsurowiej zakazanych. Pomimo to Mussolini rychło zdał sobie sprawę ze swych celów i zaczął dążyć z konsekwencją do rzeczywistego zjednoczenia Włoch, zacierającego różnice nietylko prowincjonalne, pozostałe po rozbiciu politycznem, ale także klasowe, a nawet indywidualne, zmierzając do uczynienia z kraju czegoś podobnego do społeczeństwa pszczół lub mrówek, w którem jednostka ma żyć nie własnem życiem lecz życiem gatunku i mieć rację bytu o tyle tylko, o ile bierze udział w produkowaniu siły narodu.

Padł więc pod toporem liktorskim parlament, jako teren sporów, źródło przesileń rządowych i hamulec tempa społecznego, a to, co w jego miejsce powstało „faszystowski parlament zawodowy", nie odgrywa dziś poprostu żadnej roli.

Potem skończono, w sposób jeszcze radykalniejszy, ze strajkami i lockautami, przymusowo sprowadzając kapitalistów i robotników do jednego stołu obrad i poddając bezwzględnie każdego pracującego Włocha, na wsi czy w mieście, sieci „syndykatów" pracodawców i pracowników w każdym z sześciu kategorji zawodów, razem więc w liczbie dwunastu, przyczem trzynastą organizację syndykacką stanowią zawody wolne, gdzie wszyscy sami sobie są pracodawcami i pracownikami. Wprawdzie do syndykatu należeć może tylko człowiek „nieposzlakowany" t. j. faszysta, wprawdzie nadto wolno każdemu obywatelowi odmówić wstąpienia do organizacji, wolno nawet założyć syndykat własny, co jednak nie uwalnia od opłat na syndykat faszystowski i od słuchania jego rozkazów w swoim zawodzie, regulujących najdrobniejsze szczegóły życia ekonomicznego i społecznego.

Ażeby obywatel, po wyjściu z fabryki, warsztatu czy biura, nie wymknął się z pod wpływu narodowego życia zbiorowego, utworzono bardzo ciekawą instytucję pod nazwą „Dopo lavore" — „Po pracy", zapewniającą wygodny odpoczynek i rozrywkę. Czas i ochotę do niepożądanego politykowania zabierają obywatelom sporty, popierane niesłychanie intensywnie przez faszyzm.

Chodziło jeszcze o dopływ nowych zwolenników. W tym celu opanowano szkoły i mnożono je tak

Nowa instytucja kulturalna w Watykanie



Dnia 27 października r. b. otwarto w obecności Ojca Świętego Piusa XI oraz licznie zebranych Kardynałów, biskupów i prałatów wspaniałą pinakotekę, mieszczącą bezcenne wartości zbiory obrazów, rysunków, sztychów i t. p.

intensywnie, że w samym tylko roku 1929 zbudowano ich 816.

W szkole może nauczać tylko wypróbowany faszysta; profesorom uniwersytetów kazano składać specjalną przysięgę na zasady faszystowskie.

Prócz tego młodzież od najmłodszych lat ubrano w czarne koszule i wcielono do organizacji militarystycznej „Balilla", skąd przechodzi później do szeregów „Avanguardisti", aby z rozpoczęciem życia obywatelskiego znaleźć się wreszcie w słynnej milicji faszystowskiej.

Prasę, po zawieszeniu pism opozycyjnych, zmieniono, wedle własnych słów Mussoliniego, w „orkiestrę pod jego batutą", a literatów i artystów uznaje się tylko, o ile szerzą faszyzm, do tego stopnia, że nawet D'Annunzio za swoje zasługi trzymany jest w osobnej kaplicce, jak bóstwo narodowe, ale wolności mu się nie daje.

Ażeby nic niepożądanego nie zdołało przeniknąć się z zewnątrz zamknięto granice kraju i osaczono jednostki, przez reformę sądownictwa, która wprowadziła sądy, złożone z dwóch sędziów zawodowych i pięciu „asesorów", naturalnie wypróbowanych faszystów. Sądy rozporządzają bardzo surowemi karami, zwłaszcza za naruszenie dyscypliny narodowej, między innemi karę śmierci mogą stosować w 28 wypadkach.

Aby dać społeczeństwu rekompensatę za utratę wolności i wprzęgnięcie do rydwanu panującej partji, faszyzm dba o podniesienie ogólnego dobrobytu. Wzmaga więc wydatność rolnictwa, stwarza ogromne nowe gałęzie przemysłu, np. przemysł chemiczny, i rozwija stare, zakłada centrale elektryczne, wznosi budowle publiczne, wynajduje nowe pokłady mineralne i naftowe, rozwija lotnictwo, dba wszędzie o porządek, planuje i rozpoczyna przebudowę Rzymu i Wenecji, dokonuje sensacyjnych wykopalisk i t. p.

Na jednym tylko punkcie faszyzm natrafił na opór, którego przełamać nie zdołał; kiedy mianowicie, dokonawszy może największego swego dzieła narodowego: pojednania państwa z Watykanem przez Traktat Lateraneński, chciał potem podporządkować sobie nawet Papiestwo i rozpoczął walkę z organizacją „Azione Catholica". Musiał się jednak cofnąć z tej drogi, uciec do kompromisu, w którym każda strona zachowała część dla siebie ważną: Watykan wpływ moralny na młodzież, a faszyzm—jej rozwój fizyczny. I to właśnie spowodowało prawdopodobnie Mussoliniego do ukucia aforyzmu, iż są dwie tylko dziedziny, których tknąć nie można: religja i... mody kobiece.

Monumentalne zarysy gmachu, wzniesionego przez Mussoliniego, budzą jednak pytanie: za jaką dokonano tego cenę? Otóż wiadomo, że ceną tu jest wolność osobista jednostki.

Czy ta cena, któraby jeszcze przed półwiekiem wydawała się ludziom tak wygórowaną, że nawet mówićby o niej nie chcieli, może odgrywać dzisiaj taką samą rolę dla pokolenia, w którem panuje prąd dobrowolnego zrzekania się wolności, krytycyzmu i nawet własnego zdania na rzecz kultu mistrzów?

Wojciech Dąbrowski

EUROPA ZA LAT 50

Dokąd zdąża nasza kultura i cywilizacja?

2) **(Ankieta „Świata")**

W № 43 zamieściliśmy opinje na ten temat pp.: prof. K. Bartla, dr. W. Chodźki, F. A. Ossendowskiego i L. Solskiego. Obecnie kontynuujemy swą ankietę, drukując drugą serję głosów wybitnych przedstawicieli naszego społeczeństwa.

Bezsilność przewidywań

Wielki uczony, najwybitniejszy dziś znawca kultury klasycznej,

prof. dr. TADEUSZ ZIELIŃSKI,

nadsyła nam następującą odpowiedź:

Zacznijmy od pytania — o przypuszczalnym wyglądzie Europy za lat pięćdziesiąt. Mam teraz lat siedemdziesiąt zgórą; to znaczy, że już lat pięćdziesiąt temu żyłem pełnią życia świadomego. Otóż, jeżeli zapytam sam siebie, czy ja lub ktokolwiek z tych, których zdania były mi znane, wyobrażał sobie Europę w jej dzisiejszym stanie, muszę odpowiedzieć: ani ja, ani wogóle nikt. Wystarczy spojrzeć na naszą ojczyznę; przecie powszechnem przekonaniem było, że ona, na stałe podzielona między trzema mocarstwami, skazana jest (oprócz może zaboru austrjackiego), na stopniowe wynarodowienie, a jeżeli my, Polacy, nie traciliśmy nadziei na lepszą przyszłość, to jednak ta właśnie nasza nadzieja była uważana (w najlepszym wypadku) za szlachetną mrzonkę.

A zbolszewizowana Rosja? A przewaga Francji nad Niemcami? A mocarstwowe stanowisko Japonji na Dalekim Wschodzie? Przecie wszystkie te zmiany były niespodziankami; stały się rzeczywistością, popierwsze, dzięki niepostrzeżonej i niepostrzegalnej, podwodnej, że tak powiem, robocie, a powtóre, dzięki powstaniu niespodziewanych wielkich (chociaż nie zawsze nawet wielkich) ludzi. A co to jest wielki człowiek? Odpowiem określeniem francuskiego publicysty: *un grand homme, c'est un grand caractère, rencontrant un grand hasard.* Uprzytomnijmy sobie to wszystko—a będziemy zmuszeni, na pytanie, jak będzie wyglądała Europa za lat pięćdziesiąt, odpowiedzieć: nawet w przybliżeniu nie wiemy.



PROF. DR. TADEUSZ ZIELIŃSKI

A teraz pytanie drugie: w jakim kierunku zdąża współczesna kultura? Otóż zdaje mi się, że o jakimkolwiek jednym kierunku mowy być nie może; ja przynajmniej takiego kierunku nie widzę, widzę natomiast wielką ilość sprzecznych między sobą dążeń, z których może każde liczy na przewagę z czasem, ale najprawdopodobniej niesłusznie. Weźmy przykład: stosunek do religji. Czy dążymy ku jej wzmocnieniu, czy też ku jej zagładzie? Spór między religijnością a wolnomyślicielstwem toczy się od wieków, mamy wciąż te dwa obozy, czyli raczej szereg obozów tu i tam, i świat wcale nie cierpi od tej rozbieżności, chociaż dla wielu jednostek jest ona bardzo męcząca.

Ale, zapyta pan, czy można żyć i działać, nie wiedząc, jaki będzie wynik naszej pracy? Odpowiem znowu francuskiem określeniem: *fais ce que tu dois, advienne que pourra.* Jaka będzie ostateczna wytyczna tych rozbieżnych dążeń, których jestem świadkiem, i czy będzie wogóle taka wytyczna, tego nie wiem, wiem natomiast, w jakim kierunku moja praca może być najpożyteczniejszą i najowocniejszą, i tego kierunku się trzymam. To mi wystarczało dotychczas i zapewne wystarczy i nadal.

Groźba zagłady

Prezes ALEKSANDER LEDNICKI, wybitny prawnik i polityk, przewodniczący delegacji polskiej na tegorocznym kongresie paneuropejskim w Bazylei, oświadcza:

W jakim kierunku zmierza współczesna kultura i cywilizacja europejska? Sądzę, że nie będę daleki od prawdy, gdy odpowiem, że zmierzają one w kierunku przeciwnym sobie. Cywilizacja naszych czasów jest bowiem całkowicie opanowana przez genjusza wojny, pochłonięta myślą o jak najskuteczniejszych wysiłkach w zbrojeniu się i o doskonaleniu machiny państwowo-społecznej w celu usprawnienia jej na wypadek starcia zbrojnego. Natomiast zupełnie inaczej jest z tendencjami kultury współczesnej. Rola jej w stosunku do roli owych elementów mechaniczno-cywilizacyjnych mają się tak mniej więcej do siebie, — jak budżet wojenny państw europejskich (sięgający w wielu krajach trzech-czwartych ogólnego budżetu), — do budżetu kulturalno-oświatowego. W związku z tem kultura europejska przechodzi znamienny, nie od dziś już zresztą datujący się kryzys poziomu: demagog i krzykacz stali się jej przedstawicielami.

W czem kryje się źródło tego — dość anormalnego — stanu rzeczy?



PREZES ALEKSANDER LEDNICKI

Tu się zbliżamy do drugiego pytania — do owej Europy za lat 50. I aczkolwiek interesujące pytanie to ma wiele wspólnego z fantastyką, można odpowiedzieć na nie, wsparłszy się o historję.

Otóż, nie ulega wątpliwości, że na dzisiejszy opłakany stan kultury i cywilizacji europejskiej wpływa w sposób przemożny centralne zagadnienie polityczne Europy: zagadnienie współczesnych Niemiec. Jest to bowiem jedyny kraj, który stoi w tej chwili innym na drodze, może jeszcze nie do świątyni pokoju światowego, ale do jej przedsionka.

Psychologja narodowa Niemiec zaważy bodaj najbardziej na owym dalekim obrazie Europy za pół wieku.

Następuje tam konsolidacja sił narodowych, w wyniku której — jest rzeczą możliwą zmartwychwstanie monarchji, co przy szowinistycznej tendencji narodu niemieckiego — oznacza nową wojnę.

I dlatego winniśmy w tej chwili w jednym tylko kierunku wytężyć wszystkie swe siły — w kierunku uratowania Europy przed grożącą jej zagładą.

Przewaga treści nad formą

Jedna z najwybitniejszych przedstawicielek naszej palestry,— pierwsza kobieta-adwokat w Polsce,

p. HELENA WIEWIÓRSKA,

oświadcza:

Wydaje mi się, że cywilizacja i kultura europejska idzie w kierun-



P. HELENA WIEWIÓRSKA

ku rozwoju formy kosztem treści, rozwoju kolektywu — kosztem wolności jednostki. Forma — Państwo ogarnia dziś niemal całe życie jednostki, wdziera się do jej stosunków rodzinnych (porzucenie rodziny np. jako występek karny), do rozporządzania majątkiem, zarówno nieruchomym, jak ruchomym (ograniczenie sprzedaży nieruchomości, podatki progresywne), do ustalania granic, do stosunków najmu pracy, do wywozu produktów i t. d. Nie ulega wątpliwości, że, ograniczając prawa jednostki w życiu rodzinnem i gospodarczem, Państwo występuje w imieniu słabych, lub dla dobra całości, lecz wolność jednostki cierpieć na tem musi.

Przewagę formy nad treścią widzimy też gdzieindziej. W poezji — wyszukiwanie nowych form. W powieści nowa forma a przynajmniej jej wytwarzanie, nawet w pozornym braku formy nowy styl, nowy układ materjału. W architekturze i konstrukcji wnętrz — celowość formy i jej zastosowanie do treści, być może, dążące do pewnego szablonu, w muzyce — twórcze, skomplikowane, przytłaczające formy, a w malarstwie nieustanne poszukiwania i zmagania się sprzecznych form...

A jednak... Kiedy przysłuchuję się nowoczesnej muzyce, tak bardzo skomplikowanej — tęsknię do rozlewnej melodji i głębi dawnych mistrzów, — kiedy zwiedzam wystawy architektoniczne — podziwiam celowość formy, ale mi w tych stylowych pokojach zimno... A oko tęskni do malowniczych frontonów, strzelistych dachów, a nawet do przytulności bezpretensjonalnych wnętrz.

Jak wyobrażam sobie nasz kontynent za lat 50?

Za lat 30 czy 50, a może znacznie, znacznie wcześniej, tendencja rozwoju silnej władzy, wszechmocy Państwa, rozwoju formy — dojdzie do kresu, wypełni cykl wyznaczony i zacznie się powrót do kultu jednostki, żarliwej wiary, rozlewnej melodji, do podniesienia treści nad formą. Być może przez krwawe rewolucje, a napewno przez bolesne przewroty ideowe. Ale przedtem dojdziemy, być może, do absolutyzmu, przed którym zblednie absolutyzm Ludwika XIV i Fryderyka II, do zdarzeń bardziej krwawych, niż gwałty Nerona, lub Iwana Groźnego. Czy to będzie wojownik, czy kapitalista, czy syndykaty, lub związek kapitalistów, — wszystko jedno, treść pozostaje ta sama.

Najmniej zmian przewiduję w dziedzinie etyki. Być może, po okresie wielkiego równouprawnienia kobiety — o ile warunki ekonomiczne pozwolą, nastąpi powrót jej do domowego ogniska i skierowanie jej aspiracyj do życia kontemplacyjnego, o podłożu romantyczno-estetycznem.

Przez starcia ku syntezie

Świetny krytyk i essaista, znakomity znawca literatury europejskiej,

JAN EMIL SKIWSKI

pisze:

Trudno o przyjemniejszą ankietę, niż ta, którą zainicjował „Świat". Któż tam będzie za pięćdziesiąt lat sprawdzał, czy miałem rację w roku 1932?

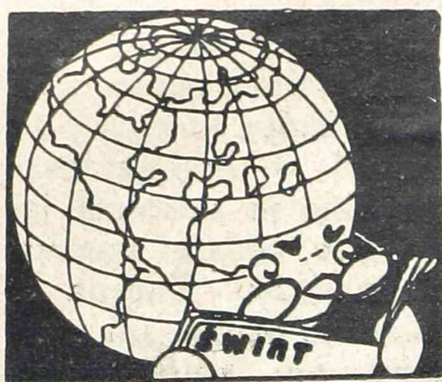
Jedyną odpowiedzią mniej więcej konkretną na pytanie, jak będzie wyglądała Europa za lat 50, wydaje mi się odpowiedź negatywna: styl tej budowli nie będzie żadnym ze stylów, które ubiegają się dziś o monopol w architekturze społecznej; będzie je zawierał jako momenty, ale będzie szerszy, głębszy, potężniejszy. Europa za lat pięćdziesiąt nie będzie ani czerwoną komuną, ani kotłowiskiem nacjonalizmów, utrzymujących się w kunsztownej równowadze, grożącej w każdej chwili krwawą eksplozją.

Grzechem komunizmu, którego postulaty gospodarcze, przynajmniej częściowo, będą zapewne zrealizowane, jest jego nienawiść do tradycji, nierozumienie, a nawet wrogi i niszczycielski stosunek do ciągłości kulturalno - historycznej narodów. Nacjonalizm chciałby rozbić Europę na szereg małych więzień; komunizm chciałby z niej zrobić jedno wielkie. W liberalizm, który stoi pośrodku, nikt nie wierzy prócz kilku publicystów. — Sytuacja jedna z tych, kiedy to wszystko jest jak najgorzej, rozbitki przygotowują się na śmierć głodową — i nagle... Otóż nie, żadnych „nagle"!

Rozwiązanie nie spadnie, ale się powoli urodzi. Ci, którzy dziś pracują we wrogich obozach, nie wiedząc o tem, pomagają sobie i w gruncie pracują przy jednym warsztacie. W interesie przyszłości Europy jest, aby dziś każdy system myślowy był doprowadzony do ostatnich konsekwencyj, aby niczego nie ukrywać za parawanem niedomówień, kompromisów, choćby mówienie wszystkiego było niezmiernie ciężkie. Żyjemy w czasach generalnej konfrontacji różnych postaw myślowych. Historja, gdybyśmy się temu nie wiem jak opierali, wyciśnie z nas wszystkie potrzebne jej zeznania. Powinniśmy jej to ułatwić — oto nasza rola.



JAN EMIL SKIWSKI



TYDZIEŃ ŚWIATA

Szczątkowy organ

(Wig.) Zwołanie Sejmu przechodzi teraz bez żadnego wrażenia. Nawet nie zauważono, że miał on siedmiomiesięczne wakacje. Może ta obojętność powstała od chwili, gdy opozycja zakwestjonowała prawidłowość wyborów, a Sąd Najwyższy przez dwa lata nie zdołał rozwiać wątpliwości pod tym względem i przy dotychczasowem żółwiem tempie pracy da prawdopodobnie odpowiedź na podstawowe pytanie — po zakończonej kadencji.

A może przestano interesować się Sejmem, gdyż utracił on obie swe przyrodzone funkcje: sprawowania kontroli nad rządem i uchwalania nowych ustaw. Wszystkie doniosłe projekty prawne — z nowym kodeksem karnym i zniesieniem niezależności sędziowskiej na czele — załatwione zostały drogą dekretową. O wpływie Sejmu na działalność czy personalja rządu — niema mowy.

Pozostało mu formalne prawo uchwalania budżetu. Ale i to staje się fikcją, skoro budżet na nasze możliwości finansowe jest stale zanadto obszerny. Dostosowaniem tego luźnego worka do realnych rozmiarów dochodów, przykrawaniem go i nadawaniem ostatecznej formy zajmuje się sam minister skarbu, niewiele zwracając uwagi na fastrygę sejmową.

W ten sposób Sejm pozostał tylko trybuną zimową, używaną przez opozycję do skarg i lamentów. Dla niej to może ważne; dla ogółu społeczeństwa nie przedstawia wielkiej wartości. Dlatego tak mało się nim interesuje. Prawdziwie szczątkowy to organ państwa. Istnieje, ale nie działa.

Wybory niemieckie

(V.) Po raz czwarty czy piąty w tym roku stają wyborcy niemieccy przed urną; za każdym razem w innej konstelacji. Tylko osoba Hindenburga unosi się wciąż na powierzchni i wymaga takiego czy innego ukształtowania się do niego walczących stron.

Gdy mu powtórnie powierzano stanowisko prezydenta Reichu — lewica i centrum stały za nim murem, prawica zwalczała go zapamiętale. Przy wyborach sejmu pruskiego Hindenburg starał się zachować neutralność, a wszystkie partje powoływały się na niego, jako na swego orędownika. Ale już w poprzednich wyborach parlamentu niemieckiego — prawica była za nim, lewica przeciwko.

Dzisiaj nacjonalizm rozszczepił się: za Marszałkiem stoi tylko Hugenberg i rząd, formujący dopiero swą „partję bezpartyjnych", przeciwko — cztery opozycje: komunistyczna, socjalistyczna, centrowa i hitlerowska, skłócone między sobą, nienawidzące się wzajemnie i nie mogące współdziałać, lecz tworzące razem przemożną siłę negatywną.

W rozwiązanym parlamencie na 613 posłów rząd miał tylko 42 za sobą. Bezwątpienia, teraz zwiększy tę liczbę, ale nawet, gdyby ją podwoił, potroił — jeszcze mu daleko do uzyskania większości. A o „cuda przy urnie" w Niemczech bardzo trudno: ludność jest uświadomiona obywatelsko, administracja wdrożona do legalizmu. Von Papen wyjdzie więc pobitym, lecz ze zwiększonym zastępem. Nie zdoła on zapewne utrzymać się przy władzy i ustąpi ją — gen. Schleicherowi, będącemu w odwodzie.

Ten podejmie dalszą walkę z partjami, z parlamentem, z zasadą rządów demokratycznych — w imię władzy personalnej Hindenburga, którą już łatwo przekształcić będzie w personalne rządy Hohenzollerna.

Niemcy posuwają się konsekwentnie po obranej drodze.



AFISZ WYBORCZY PARTJI RZĄDOWEJ

„Marsz na Londyn"

(j) Policja londyńska wyjątkowo energicznie zabrała się do „marszu głodomorów" na Londyn. Wiadomo było, że marsz organizował komunizujący „Związek Bezrobotnych", że Partja Pracy nie bierze żadnego udziału w tej imprezie, że nędzę i nieszczęście bezrobotnych stara się wyzyskać dla swoich celów politycznych dychawiczna partja komunistyczna W. Brytanji.

Jak wyglądał pochód głodnych w Londynie, widzimy na naszych ilustracjach. Liczny kordon policji, oddzielający wiecujących w Hyde Park uczestników pochodu, przysłuchiwał się spokojnie najbardziej światoburczym i antirządowym przemówieniom. Kiedy jednak któryś z wiecowników rzucił kamieniem w policję, przystąpiono do rozpędzania wiecu.

Bronią policji londyńskiej w starciach z tłumem są: konie i pałki gumowe. Policjanci angielscy z reguły nie mają ani broni palnej, ani broni białej. Przelew krwi jest niemożliwy. Mocne uderzenie pałką gumową albo tęgi cios wyboksowanego „bobby" okazują się zupełnie dostatecznym środkiem na uspokojenie wzburzonego tłumu.

„Głodomorzy" zajmowali stolicę W. Brytanji przez kilka dni. Bezskutecznie usiłowali dotrzeć do parlamentu. Wysłali delegacje do posłów. Usprawiedliwiali się z gwałtów.

Po aresztowaniu i osadzeniu na tydzień w więzieniu wodza ich — zrezygnowali z dalszej demonstracji. Poprosili nawet o protektorat Partji Pracy i przyrzekli, że będą posłuszni jej dyrektywom.

Na poturbowaniu kilkudziesięciu wiecowników i policjantów skończył się „marsz na Londyn", jeden z epizodów wielkiej i smutnej epopei bezrobocia w Anglji. Epizod ten przyspieszył jednak obrady w Rządzie i parlamencie nad zorganizowaniem szerszej niż dotąd akcji pomocy dla dotkniętych bezrobociem.

Uczczenie jubileuszu

(Old) Najwyższy Trybunał Administracyjny obchodzi w tym miesiącu dziesięciolecie swego istnie-

„MARSZ GŁODNYCH" NA LONDYN

Czoło pochodu prowincjonalnego wkracza do Londynu



W demonstracji wzięły udział zastępy bezrobotnych kobiet

nia. Rząd na swój sposób uczcił ten jubileusz. Wyszedł dekret o zawieszeniu na dwa miesiące nieusuwalności sędziów Trybunału. Przez ten czas instytucja ma być zreorganizowana, a na opróżnione miejsca zwolnionych sędziów mianowane będą nowe siły.

Stanowisko pierwszego prezesa Trybunału objął radca Piętak z Prezydjum Rady Ministrów. Zdolny ten prawnik przeszedł do urzędowania polskiego ze służby austrjackiej. Zrazu był w departamencie wyznań religijnych, następnie został przeniesiony do wydziału prawnego prezydjum Rady Ministrów i tam awansował na stanowisko szefa biura prawnego.

Dymisja ministra Zaleskiego

Najniespodzianiej, po bezwzględnym sukcesie osobistym, jakim był ponowny gładki wybór Polski do Rady Ligi Narodów, ustąpił ze stanowiska p. August Zaleski. Fakt ten ma donioślejsze znaczenie, niż zwykła „zmiana warty" w gabinetach pomajowych, gdyż p. Zaleski od siedmiu lat bez przerwy piastował tekę spraw zagranicznych i był gwarancją ciągłości zewnętrznej polityki polskiej.

Miejsce p. Zaleskiego obejmuje wiceminister Beck, długoletni adjutant marszałka Piłsudskiego.

Ofiary amnestji

(J.) Kilkaset osób opuściło mury więzienne w samej stolicy. Darowano im karę na mocy amnestji z powodu wejścia w życie nowego kodeksu karnego. Amnestja obecna, jak wiadomo, dotyczy kar, nie przekraczających 6 miesięcy. Najbardziej bodaj ucieszyli się z niej dziennikarze, którzy figurują, jako redaktorzy odpowiedzialni. Po sądach tłukły się dziesiątki „prasówek", które wszystkie uległy umorzeniu.

Zdarzyło się, że redaktorzy trzech opozycyjnych pism mieli już wyroki uprawomocnione. Oni to, z natury rzeczy, mieli największy powód do zadowolenia, kiedy dowiedzieli się o przygotowującej się amnestji. Atoli, na cztery dni przed wejściem w życie rozporządzenia o amnestji, wtedy, kiedy darowanie im kary było już sprawą przesądzoną, zabrano ich do więzienia. Przetrzymano cztery dni i zwolniono.

Jak dotąd, w wyjątkowych tylko wypadkach wykonywano rygorystycznie wyroki prasowe, opiewające na karę więzienną. Gdyby nie amnestja, możeby i ci trzej redaktorzy nie zawarli bliższej znajomości z celą więzienną.

Nowe firmy

(Old) Srożący się kryzys został zanadto oczerniony. Pochłania on wprawdzie liczne ofiary, ale też rodzi wartości. Syndycy upadłościowi zarabiają krocie; powstają stąd nowe fortuny. Tworzą się nowe instytucje: najwybitniejsi ekonomiści, finansolodzy, prawnicy i buchalterzy zakładają specjalne agencje, pośredniczące między dłużnikiem a wierzycielem; za bezcen: — za 300 złotych wpisowego, 150 zł. wynagrodzenia dziennie dla eksperta, 5% prowizji od zredukowanej sumy — można zmniejszyć swe zadłużenie do połowy. Są też i inne przedsiębiorstwa, o których w czasach „prosperity" nikomu się nie śniło.

Jednego dnia otrzymaliśmy nprz. dwa prospekty powstających instytucji: Biuro opracowań i informacji ekonomicznych i Biuro literackie „Styl".

Pierwsze zajmuje się naukowem opracowaniem wszelkich tematów ekonomicznych (agrarnych, rolnych, przemysłowych, handlowych, skarbowych, kredytowych), zbieraniem materjałów statystycznych i sprawozdawczych, dotyczących powyższych zagadnień, doradzaniem w zakresie opracowań i poszukiwań źródeł, organizacją gospodarstw prywatnych, biur, referatów i t. d. Na czele biura stoi p. Edward Ciborowski, b. szef Sekretarjatu Komitetu Ekonomicznego Ministrów i b. dyrektor Departamentu Ekonomiczno - Finansowego Ministerstwa Reform Rolnych, co samo za siebie mówi i daje dostateczne gwarancje fachowości Biura.

Gorzej jest z Biurem Literackiem „Styl". Ogłasza ono, że podejmuje się oceny rękopisów autorskich, poprawiania dzieł oryginalnych i tłumaczonych, opracowywania ich pod względem układu, języka i stylu, zestawiania i poprawiania tekstów, dokładnej i ścisłej korekty językowej, stylistycznej i drukarskiej, opracowywania pomysłów i planów wydawniczych etc.

Niestety, reklamy biura „Styl" przez nikogo nie są podpisane. Niewiadomo, kto podejmuje się tych prac literackich i redakcyjnych? Jacy wybitni styliści i językoznawcy pracują w biurze? A może to zwykli grafomani, ludzie zgoła niekompetentni, jacyś właściciele składu starych mebli, których teraz nikt nie kupuje, albo w najlepszym razie przepisywacze na maszynie? Anonimom płodu swego ducha nikt nie powierzy, — ani poprawkom ich nie zaufa. Gdzież jest gwarancja dobrego wykonania pracy literackiej?

Uciekać do dżungli!

(K.) W jednym z kinematografów warszawskich wyświetlany jest obecnie z wielkiem powodzeniem film, którego treść jest następująca: młoda wytworna angielka przybyła do środkowej Afryki, by połączyć się z ojcem. Ów ojciec wraz z drugim młodszym zuchem postawił sobie za cel swych zabiegów — odnalezienie „cmentarza słoni". Obu kieruje wyłącznie chęć zysku, nadzieja zdobycia wielkiej ilości cennych kłów.

Lecz oto panienkę z Londynu porywa jakieś zdziczałe zwierzę ludzkie, zresztą dość piękne i mocno zbudowane, które prowadzi małpi żywot na drzewach. I po kilku dniach emocjonującego współżycia z małpami i drapieżnikami dżungli młoda angieleczka tak się rozsmakowywuje w życiu na gałęziach drzew, że nie chce wracać do Europy, że zrywa ze światem cywilizowanym i decyduje się snuć pasmo szczęśliwego żywota z człowiekiem-małpą i jego najbliższymi przyjaciółmi — pawjanami.

Zdjęcia zwierząt są piękne, autentyczne. I film wypełnia codzień widownię. Panie i panienki z wypiekami na twarzy śledzą perypetje młodej europejki, niedwuznacznie zazdroszcząc jej szczęśliwych chwil z małpami. Życie na starym lądzie stało się widocznie tak nieznośnem, że w połowie XX wieku stara kultura europejska marzy o życiu małpy w dziewiczej dżungli środkowo-afrykańskiej.

Tam przynajmniej nie sięga poborca podatkowy i komornik!

Dyskwalifikowani

(s) Wyraz „sport" w języku jego pochodzenia jest nieomal synonimem szlachetności, rycerskości, dobrych manier. Sportowy kodeks honorowy nie jest wprawdzie spisany przez żadnego sportowego Boziewicza, ale napewno nie przewiduje rękoczynu, jako sposobu szukania satysfakcji za obrazę słowną w druku.

„Sportowcy", którzy napadli na literata, p. J. M. R. w szatni znanego w stolicy dancingu i usiłowali go pobić za to, że istotnie niefortunnie nazwał „niemądrym ogrodniczkiem" naszego olimpijskiego mistrza - szybkobiegacza, całkowicie zdyskwalifikowali się, mówiąc gwarą boiskową.



W Salonie Garlińskiego odbyła się retrospektywna wystawa prac artysty-malarza **Juljana Dworzaczka**, zamykająca dotychczasowy okres jego twórczości. Podajemy reprodukcje obrazów, przedstawiających poszczególne fazy rozwoju jego talentu





MONACHJUM — SZKOŁA KNIRR'A I MAGIDAY'A

STUDJUM — KRAKÓW PROF. AXENTOWICZ

PARYŻ — AKADEMJA SZTUK PIĘKNYC. HPRÓF. RAPHAEL COLLIN

Malarz radosnej przyrody

Ogromnie się zmartwił mistrz Kazimierz Lasocki, gdy pewnego dnia rozbrzmiał po Polsce manifest futurystów, a na wystawach warszawskich pojawiły się obrazy, układane z pudełek od zapałek i puszek od sardynek.

Mistrz Lasocki wrócił wówczas z Rosji Sowieckiej, coprawda opromieniony zasługą współtwórcy uniwersytetu i akademji malarskiej w Kamieńcu, ale bądź co bądź, naocznie przekonany, że w pewnych okresach cywilizacyjnych absurd może się pomyślnie aklimatyzować i kwitnąć.

A w takim razie cóżby się stało z jego sztuką, opartą na niezbitych, arystotelesowskich przesłankach, że artysta winien wzruszać, a nie filozofować, trafiać do uczucia i pilnie je pielęgnować.

Mistrz był niepocieszenie zmartwiony, przez godzinę conajmniej nie opowiedział żadnej anegdoty i posępnie mamrotał:

— Tacy to i życie obrzydzić gotowi. Zbrzydzić życie Lasockiemu?

Tego by nikt nie dokonał, choćby sprzysięgł się cały koncern Kreugera z wszystkiemi sardynkami świata, radość życia bowiem w sztuce Lasockiego jest trwalsza od wszystkich systematów i stanowi najintegralniejszą treść jego istoty. W tem radosnem ustosunkowaniu się do przyrody Lasocki nie ma żadnych zastrzeżeń. Ani nie wybiera modelów, ani nie szuka wybitnie malowniczych motywów krajobrazowych; wystarcza mu natura, taka, jaka jest w rzeczywistości, przedewszystkiem zaś pociąga go pejzaż mazowiecki, dla jednych posępny swą równinną melancholją, dla Lasockiego jurny, promieniejący słońcem, powietrzem i tężyzną barw.

Lasocki uczył się u Gersona i Kauzika w warszawskiej szkole rysunkowej, potem w Monachjum u Ażbego, Herthericha i Stucka, spędził wiele czasu w Rzymie



PŁASZCZYZNA MAZOWIECKA KAZ. LASOCKI



ARTYSTA PRZY PRACY

i w słynnej ongiś Anticoli w Abruzach, włoskiem osiedlu malarzy i poetów z całego świata, piechotą przewędrował pół Europy, aż do Bułgarji, a z tych wszystkich studjów i wrażeń wyniósł tę pewność, że na Mazowszu najpiękniej.

Podobnie myślał Chełmoński, Stanisławski, liczna grupa malarzy krakowskich i każdy zresztą artysta, który zdaje sobie sprawę, iż wielka twórczość nie jest jakiemś przypadkowem zjawiskiem, ale emanacją czasów, rasy i jego ziemi.

A ile obrazów namalował Lasocki?

Sam tego zliczyć nie potrafi, bo — po pierwsze — w rachunkowości jest niemocny, a powtóre — wcale nie ma ochoty przyznawać się do pracowitości, a przedewszystkiem do 40-letniej działalności artystycznej.

Mógłby pomyśleć ktokolwiek, że mistrz jest już stary.

Nic podobnego.

Gnat i skóra pozostały z tych holenderskich lub szwyckich krasawic, które uwieczniał na swych płótnach, przekładając często bydło nad ludzi.

Mistrz zaś wytrwał w młodości.

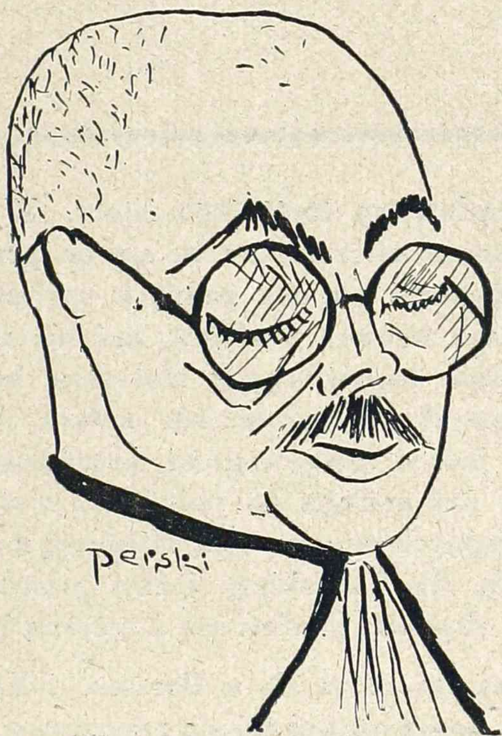
Posiadł bowiem tę samą moc, co sławione przez niego wierzby mazowieckie: Ledwie padnie kruchy blask słońca, zielenią się nanowo i z pasją radują światem.

Witold Bunikiewicz

FILM SĄDOWY

Tragedja Żyrardowska

Echa strzałów, od których zginął Gaston Köhler-Badin, naczelny dyrektor Zakładów Żyrardowskich, przez tydzień wypełniały pałac warszawskiego sądu okręgowego, załamując się w refleksy



SĘDZIA KRAMER

najbardziej rozmaite. Promień światła, który padł na smutną sprawę Blachowskiego, rozszczepił się w pryzmacie rozprawy sądowej na gorące kolory. Rzuciły one barwę i na podłoże społeczne sprawy i na życie gospodarcze i na psychikę ludzką.

Słowa przewodniczącego, wypowiedziane pod adresem jednego z obrońców w formie ostrej uwagi, by zachował atmosferę spokoju i unikał rozszerzania ram procesu na podłoże socjalne, odniosły skutek tylko w pierwszej swej części. Istotnie, mimo kłębowiska antagonizmów, sprawa przeszła w poważnym nastroju.

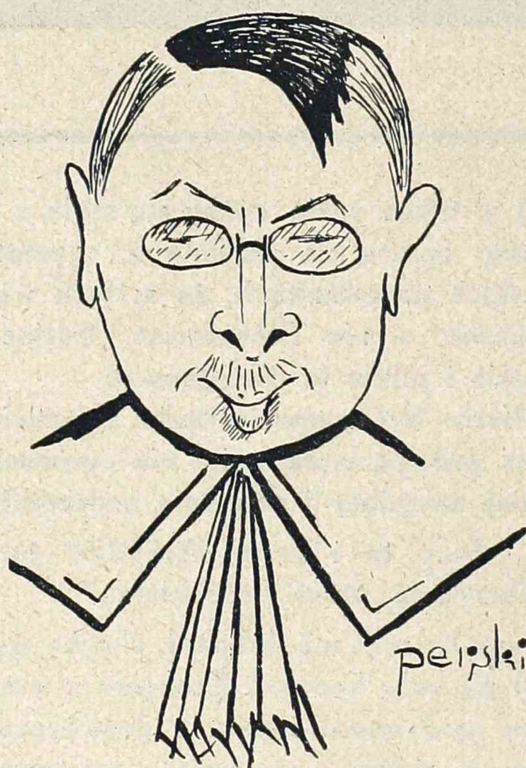
Jeśli chodzi natomiast o ścisłe ramy procesu, to nie dało się ich utrzymać, gdyż materjał przewodu sądowego rozerwał ciasny obwód sprawy o zabójstwo i momenty socjalne przedarły się nawet do wyroku, w którym wzięto pod uwagę sytuację Żyrardowa.

Czemuż to sprawa Żyrardowa wplotła się tak istotnie w proces Blachowskiego? Czemuż to owe „dwa procesy", jak to określił prokurator, pomieściły się w jednym wyroku?

Zabity dyr. Köhler postępowaniem swem mówił: „Żyrardów — to ja".

„Żyrardów — to ja" — powiedział sobie również Blachowski.

I tu właśnie tkwi sedno konfliktu.



ADWOKAT TADEUSZ GACKI

Żyrardów dyr. Köhlera, to rzecz ogromna, splot rozległych interesów, skomplikowanych posunięć na szachownicy wielkiego przemysłu, a jednocześnie pozłacane bóstwo, które za największy swój obowiązek poczytuje troskę, by jego słudzy leżeli przed niem w prochu i nie śmieli oddychać.

Żyrardów zaś Blachowskiego, to trud robotnika, to zawiść pięciu tysięcy bezrobotnych rodzin wobec tysiąca zatrudnionych w zakładach wybrańców, to małe, ale gryzące troski szarego bytu. Każda z tych trosk poszczególnie jest pyłem wobec ogromu Żyrardowa, lecz wszystkie razem wzięte stwarzają siłę potencjalną, której nie wolno lekceważyć.

Wszędzie jest źle i szary pracownik musi składać ofiary, by utrzymać egzystencję przedsiębiorstwa, którego byt jest dla niego kwestją życia. Żyrardów przechodzi to, co i inne ośrodki przemysłowe. Zniósł wiele i mógłby jeszcze wiele wytrzymać, gdyby niepotrzebnie zupełnie nie szarpano jego nadwątlonych sił psychicznych. Pracowano nad tem, by każdy, kto był wciągnięty w orbitę fabryki, czuł się jak zdeptany robak, by nie ośmielił się przejawić własnej indywidualności, by stał się bezdusznem, a nadewszystko tanio kalkulującem się kółeczkiem wielkiej maszyny.

W takiej sprawie, jak ta, bardzo łatwo o jakieś antagonizmy zasadnicze. W procesie Blachowskiego nie wyczuwało się jednak żadnych nienawiści ogólnych do kapitału, jako kontrahenta pracy, lecz widziało się jedynie nienawiść do Żyrardowa, jako warsztatu pracy. Żyrardów pracy nienawidził Żyrardowa interesu.

Dane przewodu sądowego upoważniają do wniosku, że nienawiść tę wyhodował zmarły dyr. Köhler. Niema podstaw do przypuszczania, by leżało to wszystko w intencjach akcjonarjuszów. Wiemy, że pisano im raporty o panujących w Żyrardowie stosunkach. Być może, że polityka dyr. Köhlera nie była im na rękę, ale mógł tu zaważyć kontrakt, którego zerwanie naraziłoby na konieczność wypłacenia setek tysięcy odszkodowania. Przecież za zerwanie z jednym z niższych dyrektorów musiano zapłacić 115.000 zł. odszkodowania z mocy umowy.

Być może, że dyr. Köhler był człowiekiem najlepszych intencji z własnego punktu widzenia i jakoś opacznie przeszczepiał na teren Żyrardowa metody Zachodu. Były to jednak metody Zachodu, praktykowane tylko wobec kolonji. Dyr. Köhler pomylił się fatalnie w swych założeniach, pomylił się w metodzie, bo nie znał zupełnie psychiki polskiej.

Polacy potrafią doskonale pracować w stosunkach zachodnio-europejskich i bywają oceniani na tym terenie, ale są elementem strzegącym swej godności osobistej i jeśli ktoś tego nie będzie chciał czy mógł uszanować, popełni błąd fatalny, czasem nie do naprawienia.

Traf zrządził, że mordercze kule padły z ręki Blachowskiego, który miał właśnie ową polską godność człowieka, wyrobioną wielkim nakładem woli w kajdanach katorgi.

Był to czyn szaleńca, który spotkał się ze słuszną karą, ale targnął refleksjami, mogącemi mieć wpływ na kształtowanie się stosunków Żyrardowa w przyszłości.

Jan Drobniewski



OSKARŻONY BLACHOWSKI

WIEŚ LITEWSKA



TYPOWA WIEŚ LITEWSKA Z POW. SZAWELSKIEGO

Nigdzie nie bije tak w oczy konkurencja, wytwarzana przez autobusy ruchowi kolejowemu, jak na Litwie. Poco jechać koleją, kiedy autobusem i taniej i przyjemniej. Niezawsze prędzej, bo autobusy często przystają, robią w większych miastach dwudziestominutowe postoje, przyjmują po drodze pasażerów, przyczem parę minut zajmuje targ o cenę, czasami — „kicha nawali". Wehikuł motorowy ma jednak wiele zalet. Przedewszystkiem można go zatrzymać, gdzie się chce: przy rozstajnych drogach, przejeżdżając przez wieś, lub majątek. Można nim wreszcie dotrzeć tam, gdzieby trzeba było kolej kombinować z tak popularną na Litwie „liniejką".

Nie mam pod ręką statystyki ruchu na dworcu kolejowym w Kownie. Sądzę jednak, że nie będzie on o wiele większy od ruchu na „Centralnej stacji autobusowej". Przeciętnie przejeżdża tędy miesięcznie do 3.000 autobusów na 18 — 20 osób każdy. Łatwo obliczyć ruch osobowy. Takie same stacje są w Wiłkomierzu, Poniewieżu, Szawlach, nawet w Janowie i mniejszych jeszcze miasteczkach. Autobus zbliżył wieś litewską do miasta, do stolicy przedewszystkiem. Ludzie, którzy dawniej latami nosa poza własną okolicę nie wysuwali, są dziś częstymi gośćmi w Kownie.

Piszę list do przyjaciela, obywatela pod Poniewieżem. Chcę widzieć wieś polską na Litwie. Wpraszam się bezceremonjalnie w gościnę. Za dwa dni telegram: „Czekam", poczem wskazówki: gdzie wsiąść, gdzie wysiąść. Lokuję się przy szoferze. Autobus, wypełniony publicznością litewsko-żydowską, wyjeżdża za miasto, skręca na drogę polną i tak aż na miejsce; po wyboistej, deszczami rozmytej „autostradzie" robi swoich 35—40 kilometrów. Przystajemy na chwilę w Boptach. Szofer i konduktor mają pełne ręce roboty. Okrążają ich współwyznawcy, wymieniają jakieś informacje, załatwiają tajemnicze sprawy. Oddział kowieńskiej „czarnej giełdy" na chwilę przenosi się do Bopt, by za godzinę znaleźć się w Kiejdanach.

Mijamy wsie litewskie, liczne stare krzyże, gęsto przed domami i na skrzyżowaniach dróg poustawiane. Wsie robią dziwne wrażenie: niektóre domy mają okna pozabijane deskami, tu i ówdzie w szeregu zagród chłopskich widnieje szczerba z resztkami podmurówki, lub komina. Wojna? Pożar? Nic podobnego. Litwa rozbija wsie na zaścianki. Świadczą o tem zresztą chłopskie zagrody widniejące na horyzoncie. Praca idzie bardzo intensywnie, włościanie nie mogą się doczekać geometrów, którzy są zawaleni pracą. Sfery kierownicze oczekują od tej akcji wielkich korzyści.

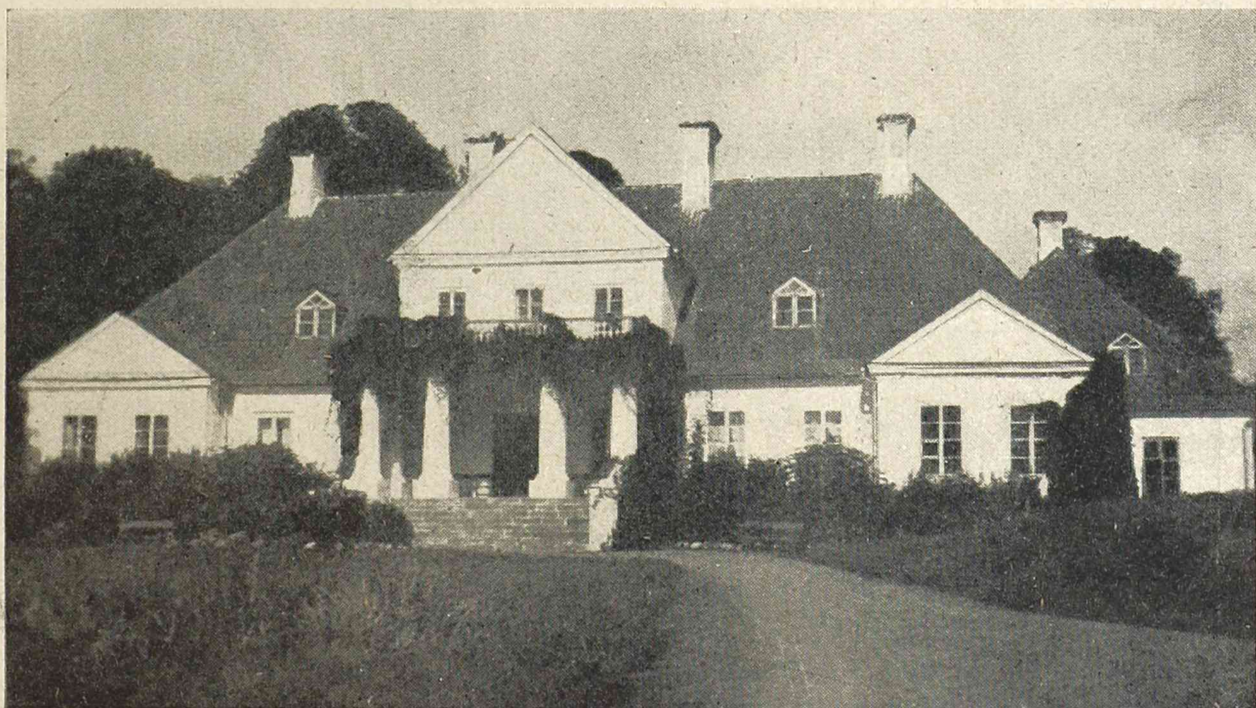
Przejeżdżamy Kiejdany... Miasteczko już większe, znaczny garnizon wojskowy. Wspaniały zamek hrabiego Totlebena przerobiono na szkołę gospodarczą.

Słońce zaszło. Zapada zmrok. Rozpalają się latarnie autobusu. Wjeżdżamy w tsarą aleję. Oto na prawo kuźnia. Stop! Jestem na miejscu.

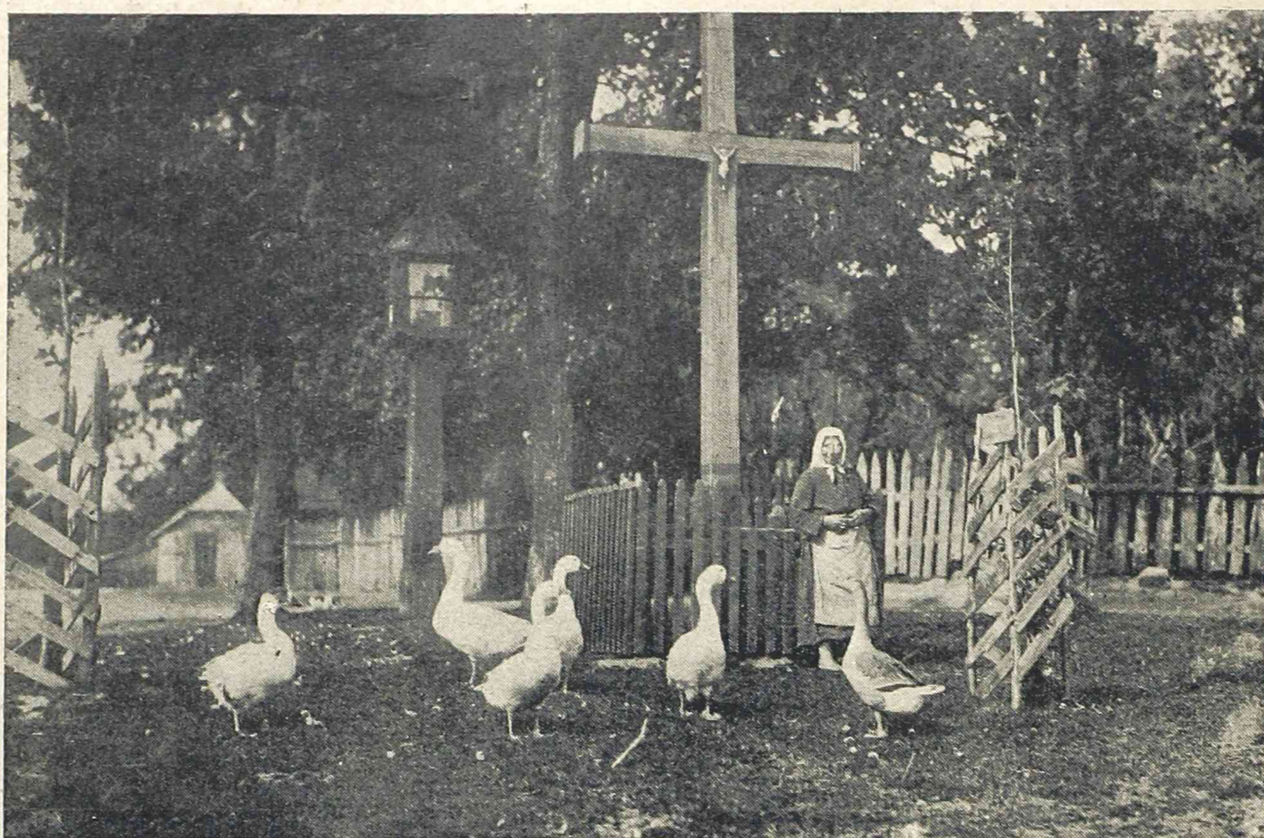
*

Majątek 80-hektarowy. Właściciel dzierżawi od brata dalszych 80 hektarów. Przy reformie rolnej zaproponowano obywatelom wybór: 80 hektarów ziemi, lub 55 ziemi i 25 lasu. Mój gospodarz wybrał ziemię. Po paru latach reformę rolną złagodzono. Właściciel ziemski może posiadać 150 hektarów. W okolicach, gdzie reforma nie została jeszcze w zupełności przeprowadzona, składa podanie i otrzymuje zwrot dodatkowych 70 hektarów. Może w tem być 25 hektarów lasu, z zastrzeżeniem, że las podlega zwrotowi tylko wtedy, o ile odcięcie takiej ilości jego od gospodarki leśnej rządowej nie naruszy całości ekonomicznej. W powiecie poniewieskim jest to sprawa nieaktualna. Jedynie obywatele żmudcy skorzystali na noweli. Cały bowiem napór parcelacyjny skierowany był na Poniewież i Jeziorosy. Tu rozparcelowano wszystko.

Gospodarz mój młóci. Idziemy w pole. „Diesel" dudni i gra, młóckarnia wyrzuca stosy słomy, elewator układa je w sterty. Urodzaj



DWOREK WIEJSKI W JANISZKACH



KRZYŻE LITEWSKIE

wyjątkowo dobry, chociaż wiele zboża „odpada". Były długotrwałe deszcze, zboże na pniu „przerosło". Będzie się karmić świnie. W każdym razie gospodarkę się trochę podreperuje, bo w zeszłym roku urodzaj był katastrofalny.

Oglądamy budynki, zakrojone na miarę szeroką, obliczone na majątek znacznie większy. Są jednak w złym stanie.

— Cóż pan chce — mówi gospodarz — lasu nie mam. Prosiłem, żeby mi zwrócili na podstawie noweli — odmówili. Kupować nie mogę. I tak co roku wsadzam w remont masę pieniędzy.

Widzę całe sterty rur drenażowych.

— Przeprowadza pan meljoracje?

Rzecz ta postawiona jest na Litwie bardzo dobrze. Obywatel, czy włościanin otrzymuje od rządu darmo, absolutnie darmo! plany i pracę technika meljoracyjnego. Płaci robotę i materjał. A na to dostaje pożyczkę niskoprocentową, spłacaną w ciągu lat 15. Opłaca się to bezwzględnie, gdyż urodzajność ziemi wzrasta znacznie.

Obywatel, jak obywatel, narzeka, bo tak, jak było przed kilku laty, nie będzie. Słucham, co kosztowała krowa, co świnia, co centnar pszenicy. Teraz ceny pospadały. Żyć jednak można i to żyć przyzwoicie.

W roku zeszłym hodowano bekony. Opłacało się to znakomicie, zwłaszcza w połączeniu z gospodarstwem mlecznem. W tym roku ceny bekonów spadły.

— Nie będę do bekonów przecież dopłacał, — oświadcza obywatel.

Widocznie tak rozumowało wielu, bo podaż bekonów na rynku litewskim spadła znacznie, a ceny podniosły się. Na przyszły rok znowu zacznie się powrót do dawnego systemu.

Podatki są w porównaniu z polskiemi — małe, stosunki z władzami możliwe.

Popołudniu w towarzystwie dwóch młodych studentek uniwersytetu kowieńskiego udajemy się łódką w górę Niewiaży. Cudowna okolica. Pagórkowata, lesista. Grzyby, orzechy, polowania. Nawet 10 metrów kwadratowych piasku — istna plaża!

W domach obywateli polskich na Litwie gościnność polska łączy się z gościnnością litewską. Jest to zatem niejako gościnność spotęgowana. Spędzam jeszcze wieczór w towarzystwie miejscowych Polaków i Litwinów, rano, pomimo protestów gospodarzy, wracam do Kowna.

*

Tym razem jadę szosą. Droga mniej przyjemna, bo nie tak malownicza. Jednostajny turkot motoru usypia. Przejeżdżamy Wiłkomierz z pięknym pomnikiem Niepodległości (wogóle na prowincji sporo ładnych pomników, brak ich natomiast w Kownie). Uciany z pustym placem, na którym w roku bieżącym zasadzono trochę drzewek, ustawiono ławki, posypano ścieżki żwirem, ogrodzono i umieszczono dumny napis: „Ogród miejski". Za lat dwadzieścia można już będzie schować się w cieniu.

Wreszcie Daugiele. Dawna poczta zniszczona podczas wojny. Skręcamy w bok i jedziemy drogą, znaną mi z przed lat dwadziestu. Tędy w dzieciństwie często odbywałem podróż z Antolept po pocztę. Poznaję krajobraz. Pamiętam to jeziorko, tamten lasek. Tu coś nie w porządku: Niemcy wycięli las. Dalej dwa ładne murowane budynki: mleczarnia kooperatywy „Pienocentras". Wreszcie gaik brzozowy, przejeżdżam około domu, w którym w dzieciństwie mieszkałem, rzeczkę Świętą, stajemy. Antolepty — jedna z najpiękniejszych miejscowości na Litwie, Antolepty, o których wspomina Weyssenhoff w „Sobolu i Pannie".

Wielkie zabudowania klasztorne. Kościół z dwiema wieżycami, otoczony białym murem. Dookoła drewniane domki żydowskie.

Stary klasztor karmelicki przechodził różne koleje. Po powstaniu polskiem został zamknięty. Stało w niem wojsko. Następnie zebrano po kilku latach „schod" i spytano, czy chce, aby znowu był klasztor. Propozycję przyjęto z radością. Urządzono klasztor, ale ...prawosławny. Po wojnie, kiedy władanie Antoleptami przeszło w



KLASZTOR W ANTOLEPTACH I RZEKA ŚWIĘTA

ręce Litwinów, przywrócono kościół katolicki. Obecnie zjeżdżają tam zakonnice z zakonu św. Kazimierza. Jako wspomnienie dawnych czasów pozostała jedna zakonnica prawosławna. Przeszła na katolicyzm, ale z przyzwyczajenia kładzie znak krzyża trzema palcami.

W zabudowaniach klasztornych mieści się progimnazjum, szkoła rolnicza, ochronka. W miasteczku zjawiła się poczta, apteka, przyjeżdża dwa razy na tydzień lekarz. Szkołę, stojącą za miasteczkiem, przebudowano. Kierownik jej oprowadza mnie po niej. Klasy duże, czysto utrzymane. Jeden pokój — to „klasa pracy". Warsztat, pełen rozmaitych narzędzi stolarskich, ślusarskich i t. p. Tu dzieci wprawiają się do pracy ręcznej. Po ścianach rozwieszone rysunki, hafty, wyszywania — prace uczniów i uczenic. Przed wojną we „włości", liczącej 6.000 mieszkańców, była jedna szkoła. Dziś szkół i kursów jest 14!

Życie stowarzyszeniowe na wsi rozwinięte jest bardzo. Istnieje szereg organizacyj politycznych, wiele organizacyj ogólno-narodowych, w których spotykają się ci, co na swoich zebraniach przeciwnika radziby w łyżce wody utopić. Jest to przedewszystkiem oddział „Związku odzyskania Wilna", komitet obchodu Witołda Wielkiego, komitet przygotowujący uroczystość 550 rocznicy śmierci Kiejstuta i t. d.

Przed kościołem urządzono skwer. Ogrodzono go sztachetami, a wewnątrz dźwignięto pięknie rzeźbiony krzyż litewski. „Ulice" mają nazwy.

— Na przyszły rok będziemy brukowali ulice i kładli chodniki — z dumą oświadczają mi przedstawiciele gminy. (Antolepty liczą 700 mieszkańców!).

Zmiany w ciągu lat kilkunastu zaszły wielkie. Wewnętrzne i zewnętrzne. Litwa cywilizuje się, nabiera poloru.

— Niech pan w Polsce powie, że nie jesteśmy takimi dzikusami, za jakich nas uważacie, prosi mnie kierownik szkoły p. Triponas.

Robię to bardzo chętnie.

Władysław Mergel

Dziesięciolecie Trybunału Administracyjnego

W tych dniach upłynęło 10 lat od chwili powołania do życia Najwyższego Trybunału Administracyjnego. Jest to już dostateczny okres czasu, aby ocenić działalność Trybunału i jego znaczenie.

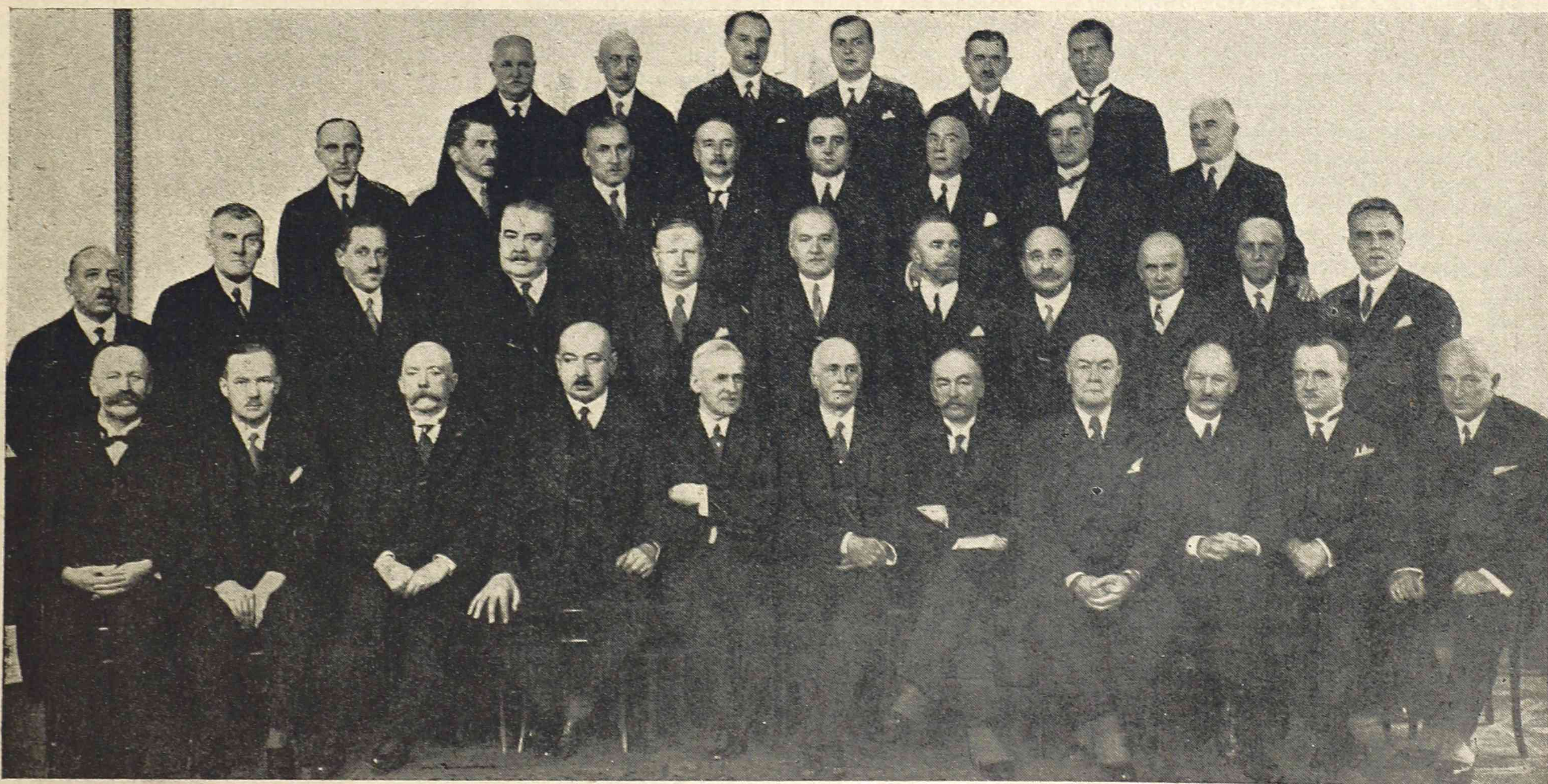
Najw. Trybunał Adm. ma trudne zadanie. Musi rozsądzać obywatela, twierdzącego, że naruszono jego prawa lub że go obciążono obowiązkiem bez podstawy prawnej, oraz oskarżoną władzę państwową lub samorządową. Z jednej więc strony trzeba obrażonemu prawu przywrócić moc i dać obywatelowi ochronę przed krzywdzącem orzeczeniem, z drugiej zaś należy baczyć, ażeby powaga Państwa nie doznała uszczerbku i aby skarb, który jest własnością całego narodu, rękojmią jego niezawisłości i potęgi, nie poniósł szkody. Przechylenie się w jedną lub w drugą stronę pociąga za sobą doniosłe skutki, dotyczące najżywotniejszych interesów, i dlatego też wydawanie wyroków winno się opierać na podstawie faktycznej, jaknajsumienniej zbadanej, i na niewzruszonej podstawie prawnej.

A wypada nadmienić, że praca sędziów Trybunału napotyka wielkie trudności. Polska posiada nadmiar ustaw, dekretów i rozporządzeń, które z biegiem czasu ulegały zmianom; to też na pytanie, jaką produkcją Polska góruje nad innemi państwami, ktoś złośliwy odrzekł: produkcją ustaw. Poza tym gąszczem ustaw, w którym zaczynają się już gubić najwybitniejsi prawnicy, obowiązują w Polsce różnorodne ustawy odziedziczone po zaborcach i często nasuwają się trudne do rozwiązania problemy, które właściwie ustawy należy stosować.

Na bieg pracy w Trybunale wpływają niekorzystnie inne jeszcze okoliczności. Przy tworzeniu Trybunału wyposażono go w niedostateczny komplet sił sędziowskich, w przypuszczeniu, że ilość spraw nie będzie wielka. Z biegiem czasu, gdy rola Trybunału znalazła należytą ocenę w społeczeństwie, napływ skarg gwałtownie się zwiększył (z 2.000 w r. 1923 do 12.000 w ostatnim roku); liczba sędziów jednak nie wzrosła równomiernie, to też mimo wysiłków i wytężonej pracy, cyfra zaległości powiększa się niepokojąco — i to rzuca cień na działalność Trybunału. Społeczeństwo bowiem dotkliwie odczuwa te niedomagania i słusznie się żali, że judykaty, jakkolwiek odpowiadające doskonałości prawniczej, zbyt późno rozstrzygają spory.

Rozważając działalność Trybunału w jej całokształcie, należy przyznać, że wywiązał się on chlubnie z zadania, za co też spotkał się nietylko z uznaniem własnego społeczeństwa; na forum międzynarodowem wyroki Trybunału Adm. często cytowane były, jako wzór objektywności i ścisłości prawniczej.

Stanisław Falat



Grupa prezesów i sędziów Trybunału Administracyjnego. Siedzą od lewej strony ku prawej: Sędziowie Kinel, Birgfellner, Półkozic-Wolski, em. prez. Dunikowski, prez. Moraczewski, prez. Orski, prez. Kopczyński, Kokowski, Podczaski, em. sędzia Morawski, Smolka.
Stoją od lewej w 2. rzędzie sędziowie: Olpiński, Domański, Piotrowski, Idźkowski, Żabicki, Okulicz, Rybarzewski. Borkowski, Zwoliński, Chrzczonowicz, Dubieński.
W 3 rzędzie sędziowie: Frycz, Bernaczek, Małek, Pędowski, Waśkowski, Rappe, Fałat, Wozdecki.
W 4 rzędzie sędziowie: Wall, Śliwiński, Żeleński, Sokołowski, Kozłowski, Dzięciołowski

Echa artykułu
„Od ministerstwa do wydziału"

W kilku ostatnich numerach zamieściliśmy artykuł p. t. „Od ministerstwa do wydziału", przedstawiający dzieje opieki państwowej nad Sztuką. Wywody te wywołały wielkie poruszenie w świecie artystycznym; jednym z objawów tego są nadsyłane do redakcji listy. Zamieszczamy poniżej wyjaśnienia b. dyrektora Departamentu Sztuki, p. Jana Skotnickiego, jako bezpośrednio dotkniętego w jednym z artykułów, oraz protest grupy osób z Lublina:

„Szanowny Panie Redaktorze!

Jako jeden z b. kierowników Departamentu Sztuki, zahaczonych w artykule p. Z. Z. Z. p. t. „Od Ministerstwa do Wydziału", drukowanego w ostatnich paru numerach „Świata", pozwalam sobie prosić o udzielenie mi nieco miejsca na wyjaśnienia.

W charakterystyce okresów, które są mi znane, nagół nie widzę zbyt wielkich odchyleń od istotnego stanu, widzę jedynie braki w pominięciu tła, na którym czy to Ministerstwo Sztuki, czy Departament Sztuki rozwijał się i przyjmował ten czy inny kierunek.

A jeśli weźmiemy to pod uwagę, może znajdziemy wiele okoliczności usprawiedliwiających czy ministrów Sztuki, czy dyrektorów.

Ministrowie Sztuki byli ministrami w okresie rządów, kiedy cała administracja państwowa improwizowała rządzenie. — W okresie, kiedy powstawały ustawy wysoce nieżyciowe, wspomnę choćby tylko konstytucję i ordynację wyborczą, niejedną ustawę z dziedziny tak zwanych zdobyczy socjalnych i t. d., które nieprzystosowane do naszego poziomu kulturalnego muszą uledz zmianie, o ile już nie uległy. Były to okresy niebywałych zakupów — lokomotyw amerykańskich, których ani jeden most w Polsce nie mógł unieść, siatek na moskity, których u nas niema, mułów do rozpłodu, pocisków niewybuchających itd. itd.

Omyłki ministrów Sztuki nie były większe od omyłek ministrów innych resortów.

To samo tyczy się polityki dyrektorów Sztuki, a moich następców. Trafili oni na okres wybujałej radosnej twórczości i padli jego ofiarą. Gdyż albo brali na siebie zobowiązania, których później nie mogli byli zrealizować, albo rozpoczęli realizację pewnych zamierzeń w momencie likwidacji tego pędu, osiadając na lodzie.

Czyż gmach Banku Gospodarstwa Krajowego, szukający lokatora, nie był na wielką skalę tem samem, co Ips., szukający przedsiębiorcy kawiarnianego? Coprawda kalkulacje Ips'u okazały się realniejsze, niż Banku, bo Ips znalazł lokatora, a bank nie.

Popieranie wyłącznie pewnych obozów, pomijając inne, o ile to istotnie miało miejsce, mogło tylko wypływać z polityki chwili obecnej i w tych warunkach inne stanowisko byłoby nie do pomyślenia.

Przecież obecny rząd, opierający się na pewnym obozie współpracującym z rządem, jedynie tym obozem interesuje się i do niego dodatnio jest ustosunkowany. — Trudno, by — ni z tego ni z owego — w jednej komórce administracyjnej działo się inaczej.

To samo dotyczy zarzutu, że szefowie działu Sztuki pozostawali nadal aktywnymi artystami, należąc do pewnych obozów artystycznych, pomimo otrzymanych nominacji.

Taki stan, według mnie, jest nakazem chwili. Przecież nikt z czynnych polityków, członków Bloku Bezpartyjnego, nie wystąpi z tego obozu z chwilą, kiedy mianują go urzędnikiem, a gdyby spróbował to zrobić, napewno skończyłby swą karjerę urzędniczą.

W sprawie oceny mojej działalności nie zabieram głosu,—i bronić jej nie będę. — Zwrócę jedynie uwagę, że i moje urzędowanie nie da się należycie oświetlić bez poznania charakteru prądów, jakie panowały w rządach ówczesnych. Były to bowiem czasy wysiłków wstrzymania inflacji i walki z nią rządu; okresy „żelaznej miotły" p. Jerzego Michalskiego, szeregu komisarzy oszczędnościowych, później walki o „złote" p. Grabskiego, kontroli sejmowych okresu szorstkiej ręki p. Bartla; niestety, nie było wówczas radosnych porywów, tak charakterystycznych dla roku 1928 i 1929.

Moich następców wprawdzie, po paru latach budżetowo-tłustych, spotkał „kryzys", ale mając za sobą dobre lata, mają z czego obecnie uszczuplać swe budżety Sztuki. — Przy dalszych rozważaniach nad artykułem „Od ministerstwa do wydziału" zauważyłem brak jeszcze jednego momentu.

O ile byliśmy przed okresem majowym zdania, że zgubnemi dla Państwa są ciągłe zmiany na stanowiskach ministrów, to jeszcze zgubniejsze wydają mi się ciągłe zmiany na stanowiskach kierowniczych poszczególnych działów.—Taki stan uniemożliwia realizację jakiegokolwiek, choćby minimalnego programu. Wytwarza z danego działu komórkę chorą na jakieś drgawki epileptyczne. Od roku 1926 Ministerstwo Oświaty siedmiokrotnie zmieniało ministrów, a „Sztuka" prócz tego czterokrotnie kierownictwo, zatem podlegała *jedenaście razy* wstrząsom. — Czyż w tych warunkach jest możliwość realizacji i ustalenia jakiegoś programu? — Czyż szefowie są w stanie objąć wszystkie działy sztuki pod swoje wpływy, poznać całokształt spraw kulturalnych w całem Państwie i ocenić, z którego działu, które sprawy są ważniejsze z punktu widzenia ogólnej kultury interesów Państwa, jeśli im się stawia dwuletni termin. Wobec tego muszą zainteresowanie swoje oprzeć na jednym dziale sobie bliskim, byle tylko coś przeprowadzić, boć na więcej w przeciągu roku czy dwóch lat niema czasu — a cóż dopiero za nieszczęście wyrasta, jeśli zmiana osoby kierowniczej następuje w połowie rozpoczętej pracy. — Urzędnik, by mógł myśleć całością potrzeb istotnych, musi mieć czas i spokój.

Proszę przyjąć i t. d.

Jan Skotnicki

„Kurjer Lubelski" (№ 286) z dn. 18.X. 1932 r. zamieścił następujący artykuł:

„W sprawie ataku na prof. Skoczylasa. Głos artystów lubelskich.

W № 42 „Świata" z r. b. w artykule p. Z. Z. Z. p. t. „Od ministerstwa do wydziału" ukazały się tendencyjne informacje o działalności prof. Władysława Skoczylasa na stanowisku dyrektora departamentu. W niektórych miejscach wprost niezgodnie z istotnym stanem rzeczy usiłowano przedstawić cele pracy ostatniego dyrektora departamentu sztuki i wpływ jego trudów na organizację życia artystycznego w Polsce.

W kwestjach, odnoszących się do swej działalności na stanowisku wysokiego urzędnika, udzieli zapewne szczerych wyjaśnień prof. Skoczylas — na tem miejscu wydaje się koniecznem zaprotestowanie przeciwko atakowi skierowanemu na osobę prof. Skoczylasa, jako artysty, który pełniąc odpowiedzialny i tak u nas ciężki obowiązek rządowego opiekuna sztuki, nie pracował bynajmniej pod hasłem: „Precz z demokratyzmem w sztuce, poparcia państwowego godne są tylko pewne organizacje wybrane".

Przeciwko bezpodstawnym insynuacjom oraz twierdzeniom, że prof. Skoczylas miał stworzyć nową rządową „Zachętę" na placu Marszałka Piłsudskiego obok starej, że tworzył nowy lokal, by *rozwodnić produkcję warszawskich artystów i obniżyć poziom wystaw*, należy energicznie wystąpić i podkreślić, że te i inne gołosłowne a nieusprawiedliwione zarzuty — ślepe pociski w ataku, przypominają, niestety, napaść jednostki na Władysława Strawińskiego, jako laureata miasta Łodzi, lub — wystąpienie grup artystycznych przeciwko prof. drowi Mieczysławowi Treterowi wobec organizacji działu polskiego na tegorocznej „Biennale".

Głos p. Z. Z. Z. ze „Świata" przeciwko prof. Skoczylasowi raz jeszcze zbyt boleśnie stwierdza, że sztuka polska, która tak chlubnie spełnia swe zadanie kulturalne i propagandowe — współcześnie zwłaszcza — zagranicą, jest w kraju dotąd jeszcze niezrozumiana, a jej wybitni przedstawiciele i najcenniejsi organizatorzy życia artystycznego są narażani na brutalne zaczepki ze strony rodzimych ignorantów w sprawach sztuki.

Trudno wreszcie bez zdziwienia przeczytać „obwieszczenie" we wspomnianym wyżej artykule, że jakikolwiek rząd ma za zadanie misternemi „środkami i środeczkami doskonale podglądać posunięcia... również dyrektora departamentu sztuki i w tym wypadku, kiedy jest nim nietylko wybitny artysta, lecz równocześnie człowiek inteligentny, energiczny, bardziej życiowo wyrobiony od poprzedników".

Przeciwko ignorancji w rzeczach sztuki i frazesom, głoszonym ex cathedra — z łamów stołecznego tygodnika — protestować potrzeba!

Witold Boguski, inż.-arch. Aleksander Gruchalski, Aleksander Lech Kłopotowski, Juljusz Kurzątkowski, Kazimierz Pieniążek, Janusz Świeży, Simon Trachter, arch. Tadeusz Witkowski, Wiktor Ziółkowski.

Lublin, 16.X.1932".





Ramiona

Dumne ramiona twoje są jak łuk silny
[i wspaniały,
na cięciwie którego napięte rąk sprężyste
[strzały.

Jakżeż trafne te słowa poety! Ramiona kobiece są bardzo podobne do łuku, z którego pada strzała częstokroć śmiertelna. Genjalny znawca anatomji—Schopenhauer, słusznie nazwał ramiona tem mistycznem miejscem, w którem odbywa się metamorfoza dziecka w kobietę; rozkwit ich bowiem jest oznaką dojrzałości kobiecej.

Ramiona są uosobieniem kobiecości, za którą tęsknimy od dziecka. W pierwszych latach zawodów i smutków życiowych, w chwilach niebezpieczeństwa uciekamy w ramiona matczyne, potem zaczynamy tęsknić i marzyć o ramionach dziewczęcych, łudząc się, że i w nich znajdziemy ukojenie i najdoskonalsze szczęście.

Ukochali je artyści i poeci, po tysiąckroć razy uwieczniając w marmurze, na płótnie i w pięknie wiązanych strofach. Najdoskonalszy ideał piękna kobiecego — Venus Milońska — ma jedną ujemną stronę — nie posiada ramion. I dlatego może, wbrew powszechnej opinji, wielu niechce jej uznać za doskonałość i woli mniej piękne kształty, ale za to obdarzone dwiema biało-różowemi skrzydły.

Jak oczy są zwierciadłem duszy, tak ramiona nazwać można odbiciem kobiecości. Ich kształt bowiem charakteryzuje najlepiej kobiety. Oschłe i zimne mają ramiona proste, pozbawione cudownego łuku, tworzącego się na granicy szyi; — kobiety złe mają ramiona kościste, obciągnięte szarawą lub śniadą skórą. Kobiety zmysłowe posiadają ramiona dość szczupłe, silnie związane i nerwowe. Natomiast ramię pełne, o łagodnem zaokrągleniu i bardzo białym kolorycie skóry, jest oznaką dobrego, łagodnego charakteru. Tego rodzaju ramiona są oznaką kobiety stworzonej przedewszystkiem na matkę. Ich ramiona muszą ogarniać i tulić, przypominają spokojną zatokę, do której schronić się można przed każdą burzą. Są też ramiona o wężowej gibkości, zakończone wąskiemi dłońmi i nerwowymi palcami. Te — najniebezpieczniejsze. Częstokroć zamieniają się w macki polipa, których oplot jest śmiertelny.

Któryś z francuskich poetów porównał ramiona kobiece do obronnego muru. Jest to porównanie doskonałe. Ileż razy bowiem kobieta, odwróciwszy lekko głowę i oparłszy ją o ramię, rzuca na „wroga mężczyznę" pociski spojrzeń. I przeważnie zwycięża. Lecz niejednokrotnie bywa to zwycięstwo Pyrrhusowe. Zwycięzca otwiera mur ramion i, przyjąwszy w nie pokonanego, sam zostaje pobity.

Kobiety od najwcześniejszych lat instynktownie wyczuwają przeznaczenie ramion. Jako maleńkie dziewczynki obejmują niemi lalki, pieski lub koty, potem zarzucają pachnące powoje na szyję ukochanego, a potem tulą w nich drobne kruszyny ludzkie, stając się symbolem największej, jaką świat zna, miłości — miłości matczynej.

Nietylko artyści i poeci uznali je za doskonałe piękno. Wiele gałęzi przemysłu oddało się w służbę ramion. Od prawieków tysiące złotników i snycerzy zamienia szlachetne kruszce i kamienie w piękne bransolety, mające ozdabiać i podkreślać doskonałą linję ramion. Otulają je najmiększe tkaniny i najrzadsze futra, z których wychylają się ramiona, jak wspaniałe kwiaty. Są szczęściem, lecz zarazem i niedolą ludzkości. Obalały królestwa i wznosiły trony, wywoływały wojny i zawieruchy, stawały się natchnie-





niem artystów, a niejednokrotnie przed najuczciwszymi ludźmi otwierały bramy więzienne, lub prowadziły na pole egzekucji.

Gdyby Helena posiadała mniej piękne ramiona, napewno nie doszłoby do wojny trojańskiej, a literatura świata uboższa byłaby o dwa wspaniałe eposy: Iljadę i Odysseę. Piękne ramiona pani Walewskiej pozwoliły prześnić buduarowym politykom wspaniały sen o wielkiej i potężnej Polsce.

Ramiona kobiece posiadają własną literaturę. Porównywano je do skrzydeł anielskich, lilji, powojów i wszelkiego rodzaju kwiatów, do promieni wschodzącego słońca, do węży i łańcuchów.

I póki ludzkość trwa, rozsiewać będą swój urok i czar, będą celem pożądań i tęsknot. Bo mężczyzna to duże dziecko. Zakrótko widocznie przebywa w ramionach matczynych i potem przez całe życie tęskni za niemi i szuka, jak skołatany, zbłąkany żeglarz zacisznej przystani.

I jest najszczęśliwszy, kiedy ją znajdzie.

j. s. w.

ŚWIAT TEATRU

„UWSPÓŁCZEŚNIANIE" SZTUK KLASYCZNYCH

Kilkanaście lat temu było to *dernier cri* postępu inscenizacyjnego. Przyszła ta „nowinka", jak się zdaje, z Sowietów, gdzie była poprostu nakazem ideowych, psychologicznych i społecznych — „konieczności państwowych" proletarjackiego régime'u. Przystosowywano więc z musu, okrawano, dopisywano — Hohola, Ostrowskiego, Moljera, Szekspira. Spartakusowski okres republiki niemieckiej z podobnych pobudek zaczął wnet robić to samo. Grano więc „Hamleta" w smokingu, „Zbójców" w kurtkach szoferskich i t. d. Powoli zaczęło to epatować i być modne w całym świecie. Pokazano więc i u nas hr. Henryka w kurtce strzeleckiej. Potem objawił się w Berlinie Piscator i wraz z Tollerem stworzyli okres *Zeitliteratur*'y.

Wszystko to razem dość szybko przeminęło. Zarzucono przemalowywanie nieboszczyków, wyczerpała się szybko „literatura czasu". Nawet w Sowietach wrócono do prawdziwego Ostrowskiego i Hohola. Jako dogasający płomień tego ognia ukazały się cztery lata temu na scenie paryskiego „Atelier" arystofanesowskie „Ptaki" opracowane na świeżo, uwspółcześnione, zaktualizowane przez utalentowanego dramaturga francuskiego Bernarda Zimmera — dzieło smaczne i wysoce artystyczne.

Potem nastąpiła *tregua Musae*. Paroletni okres „normalnego" teatru.

Teraz nowe hasło do boju daje — Praga Czeska. Wystawiono tam ostatnio rzecz p. t. „Zpivajici Benatky" czyli: „Śpiewająca Wenecja". Jako autorzy figurują: utalentowany rysownik i humorysta praski Hofmeister oraz niemniej utalentowany i popularny muzyk Ježek. Rodzaj utworu: komedja muzyczna. A jest to poprostu Goldoniego „Bottega del Café" z zachowaną wiernie treścią i akcją sztuki, z uwspółcześnionemi natomiast i całkowicie zaktualizowanemi figurami i djalogami. Tak odnowiony utwór klasyczny zdobył olbrzymie powodzenie. Zachęcone tem kierownictwo Teatrów „Narodnego" i „Stawowskiego" zapowiada, że ma w opracowaniu następne utwory dawne, i że wogóle odtąd nie będzie wystawiało utworów klasycznych, które się nie dadzą uwspółcześnić, gdyż zdaniem kierownictwa tylko te uwspółcześnione mogą zająć dzisiejszego widza, i co zatem idzie, zdobyć powodzenie kasowe.

Jeszcze śmielej, niż kierownicy scen praskich, poczyna sobie znakomity humorysta i dramaturg francuski Tristan Bernard. Powziął on zamiar ni mniej, ni więcej, tylko — napisać na świeżo „Henryka IV" Szekspira! Historja tego zamiaru jest dosyć pikantna. Ostatniego lata autor „Kawiarenki", bawiąc w małej miejscowości nadmorskiej, przypomniał sobie, iż jeden z jego paryskich przyjaciół dyrektorów prosił go o zrewidowanie tekstu „Kupca weneckiego" i opracowanie

dla jego teatru. Poszedł więc do miejscowej księgarni, ale tam znalazł tylko „Henryka IV". Przeczytał, zachwycił się i — postanowił nie przetłomaczyć go na świeżo, lecz napisać jeszcze raz, i napisać tak, jakby to uczynił sam Wiliam Szekspir, gdyby żył za naszych czasów! Autor „Prawa pocałunku" utrzymuje, że tylko taki sposób uwspółcześniania ma jedynie rację bytu. Trzeba utwory autorów nieżyjących pisać dziś na nowo. W innej formie nie można i nie należy wogóle ich wystawiać.

Praskie tendencje renowatorskie znalazły nad Sekwaną utalentowanego — i nielada zuchwałego — sprzymierzeńca...

Ha, kto wie: w każdej przesadzie kryje się zawsze zdźbło prawdy, tak jak w każdym „krzyku mody" odzywa się w jakimś stopniu głos potrzeb życia praktycznego... Poczekajmy. Zobaczymy, co nam przyniesie czeski zmysł praktyczności, ożeniony z francuską zuchwałością.

Teatry Miejskie w Warszawie

w dalszym ciągu co wieczór wypełnione. „Iwan Groźny" w Teatrze Narodowym i „Mademoiselle" w Teatrze Nowym przeważnie nie mogą pomieścić widzów. Wszyscy chcą podziwiać te tak odmienne w swoich rodzajach widowiska.

A w Teatrze Letnim panuje wszechwładnie śmiech. „Hulla ben Bulla" z każdym dniem silniej utrwala swój sukces. Kto pragnie spędzić wieczór w beztroskiej wesołości, ten śpieszy do Teatru Letniego: Fertner, Jerzy Leszczyński, Grabowski, Walter, Domiinak i inni rozśmieszyli by nieboszczyka. Panie Macherska i Marcinowska, komplet pięknych girls'ów, — czegóż można chcieć więcej od widowiska, stojącego na pograniczu rewji? Ale rewji żywej, wesołej, barwnej i aktualnej.

„Człowiek z teką" Fajki w Teatrze Kameralnym

Znakomity artysta Karol Adwentowicz zorganizował w „murowanej piwnicy" dawnego „Qui pro quo" Teatr Kameralny, z niewielkim, ale wartościowym zespołem. Na właściwą inaugurację Teatr Kameralny przygotowuje sztukę Krystyny Winsloe „Dziewczęta w mundurkach", narazie zaś wznowiono „Człowieka z teką" Fajki. Główną postać profesora Granatowa, inteligenta zdemoralizowanego i wykolejonego psychicznie przez sowiecki régime terroru, odtwarza po mistrzowsku sam Adwentowicz. Obok niego wysuwają się na pierwszy plan Ewa Kunina, Julja Kossowska, Artur Kwiatkowski. Bardzo obiecująco zaprezentowały się trzy młode talenty: Żukowski, Szaniecka i Wójcikiewiczówna.

J. M.

W kilku wierszach

Zbliżające się 25-lecie śmierci Stanisława Wyspiańskiego teatry dramatyczne warszawskie uczczą wystawieniem jego utworów. Teatr Narodowy ukaże arcydzieło Wyspiańskiego „Wesele" w reżyserji Ludwika Solskiego w obsadzie najświetniejszych „asów" aktorstwa polskiego.

*

W sprawie głośnej w szerokich sferach całego kraju *nagrody aktorskiej* dają się słyszeć głosy, że nie jest celowe ani zaszczytne nagradzanie najwybitniejszego aktora i aktorki — tysiącem złotych. Przychylamy się do tej opinji. Zdaniem naszem, możnaby za pieniądze, ofiarowane przez anonimowego mecenasa, ufundować przechodnie odznaki honorowe, coś w rodzaju wiedeńskiego „pierścienia Ifflanda". Mogłyby to być pierścienie *Bogusławskiego* i *Modrzejewskiej.*

*

Wyszło nakładem „Drukarni Współczesnej" imponujące rozmiarami i bogactwem skrzętnie zebranego materjału dzieło Michała Orlicza p. t. „Polski Teatr Współczesny", obrazujące na przestrzeni zgórą 500 stron formatu albumowego dzieje życia teatralnego w Niepodległej Polsce. Księga zawiera 538 reprodukcji oraz skróty orjentacyjne w językach: francuskim, angielskim, niemieckim i czeskim.

*

— Opera czeskiego kompozytora Smetany „Sprzedana narzeczona" — wystawiona po raz pierwszy w r. 1866 — obchodzi w tych dniach na scenie „Nar. Divadla" imponujący jubileusz — 1,200-nego przedstawienia!

*

— Popularny dramaturg węgierski Władysław Fodor, autor „Sekretarki pana prezesa", „Rulety" i in., wystawił w Wiedniu nową sztukę p. t. „Pocałunek przed lustrem". Rzecz cieszy się olbrzymiem powodzeniem.

*

— W Sztokholmie w Teatrze Królewskim podczas premjery słynnej sztuki murzyńskiej M. Connelly p. t. „Zielone pastwiska", doszło do wielkich awantur na widowni z powodu rzekomo antireligijnego charakteru sztuki. (W niektórych organach naszej prasy pomieszano tę sztukę z „Czarnem ghettem" O'Neilla).

*

— Zmarła w Budapeszcie w 40 roku życia jedna z najlepszych i najbardziej lubianych artystek komedjowych węgierskich, Irena Varsanyi.

Świat książki

Propaganda książki

Nadużyta i odwieczna sentencja łacińska: „Habent sua fata libelli" poucza nas o zmiennym losie książki, o różnorodnych drogach jej przenikania i wsiąkania w społeczeństwo. Autor, wydawca, drukarnia, księgarnia sortymentowa, i wreszcie czytelnia lub poszczególny odbiorca - czytelnik — oto główne etapy tej skomplikowanej podróży, którą odbywa książka z pod pióra pisarza do oczu i rąk konsumenta. Szlaki jej i miejsca przeznaczenia są różnorodne i często nieoczekiwane, zasięg promieniowania o wiele szerszy, niż cztery ściany sali, w której rozbrzmiewa koncert wirtuoza lub wiszą oryginały dzieł malarskich.

Ale ta nieograniczona pojemność terenu działania stoi w sprzeczności z doraźnością efektu, książka pozbawiona jest bezpośredniej reakcji, tego natychmiastowego aplauzu, który grzmi na koncercie i w teatrze ku czci autora i wykonawcy. Czytelnik, podobnie jak słuchacz radjowy, jest narazie milczącą niewiadomą, reaguje później — wzrostem popytu na daną książkę, reaguje pocichu.

Mozolny żywot książki, przytłoczonej ciężarem trudności kryzysowych i dystansowanej przez kino, radjo i sport, omracza jeszcze nieustanny lament prasy. Narodzinom wartościowej książki nie towarzyszy żadna radosna uroczystość, żadna próba przekonywującej rekomendacji. Z trudem musi sobie ona wywalczać własną drogę, by trafić do ślepego, nieufnego, dalekiego czytelnika.

Krytyka rzeczowa, krytyka naukowa, oparta na gruntownem badaniu i refleksji, musi być reakcją wtórną. Ale i ona, upojona odstojną rolą sędziego, zapomina coraz częściej o mniej wdzięcznej, ale tak doniosłej społecznie roli pośrednika; komentując, analizując, karcąc autora, traci jakiekolwiek względy na czytelnika. Ten zaś szuka wskazówki, kryterjum, drogowskazu w ciemnej gęstwie osaczających go nazwisk i tytułów, a gubi się w zamęcie teoretycznych dyskusji, zawiłych estetycznych terminów i uczonych wywodów.

Niekończąca się wojna krytyka i pisarza, której efektem było pełne goryczy zamilknięcie Fredry, która od „Krytyków i recenzentów warszawskich" Mickiewicza i „Krytyki krytyki i literatury" Słowackiego przewija się szyderczym i obolałym wątkiem przez całe nasze piśmiennictwo, nie ma widoków na rozbrojenie. Zawsze taksamo boleć będzie i drażnić artystę surowa i często ujemna ocena jego utworu.

Ale dotkliwość swych sądów powinien przeciwważyć rzetelny krytyk społeczną służbą w dobrej sprawie książki i czytelnika. Z koturnów głosiciela wyroków schodzić choćby nakrótko do skromnej roli komiwojażera literatury, który próbki najlepszych towarów roznosi po najdalszych drogach, który premjerę dobrej książki rozgłasza radośnie i przekonywująco we wspólnym interesie autora, czytelnika i ogólnego poziomu kultury.

Obok wprowadzenia ustawy bibljotecznej i rozwoju szkolnictwa potrzebna jest książce dobra, zajmująca i żywa propaganda, potrzebny jest efekt głośnych premjer książkowych, sygnałów zapowiadających i torujących drogę książce wśród obojętnych tłumów. Tylko z nieustanną myślą o tym obojętnym, obcym tłumie przyszłych czytelników krytyk pełnić będzie odpowiedzialne swe rzemiosło „ku zbawieniu, a nie ku zdziwieniu świata".

H. M.

Zapowiedziane nowości

Wbrew najgroźniejszym prognostykom o osłabieniu produkcji literackiej i zwężeniu rynku wydawniczego, cały szereg przygotowanych do druku, lub drukujących się książek wybitnych pisarzy, każe nam wierzyć w niespożytość sił twórczych literatury polskiej.

W najbliższym czasie oczekujemy ukazania się: nowej powieści Zofji Nałkowskiej p. t. „Granica", tomu nowel Kazimierza Wierzyńskiego p. t. „Granice świata", który będzie debiutem prozy tego świetnego poety; „Złota Renu", drugiego tomu wojennej trylogji Andrzeja Struga p. t. „Żółty krzyż", której pierwszy tom ukazał się przed kilkoma tygodniami; powieści Jana Parandowskiego „Dysk olimpijski", której tematem jest Grecja i sport; tomu nowel Marji Kuncewiczowej p. t. „Dwa księżyce", wreszcie z niecierpliwością oczekiwanej powieści Marji Dąbrowskiej „Miłość", która stanowi trzeci tom cyklu „Noce i dnie", największego sukcesu tegorocznego.

Pozatem Juljan Tuwim oddał do druku nowy tom poezji p. t. „Biblja cygańska"; prof. Tadeusz Zieliński robi korekty drukującego się dzieła p. t. „Grecja niepodległa", drugiej części wspaniałej mitologji, pod ogólnym tytułem „Starożytność bajeczna". Zenon Przesmycki rozpoczął druk swych przypisów do „Poezji wybranych" Norwida, wobec czego ta oddawna oczekiwana antologja stanie się dostępna wielbicielom wielkiego poety.

*

Po zeszłorocznym ciekawym debiucie powieści Michała Choromańskiego „Biali Bracia", duże zainteresowanie budzi nowa jego powieść pt. „Miłość i medycyna", której druk jest na ukończeniu.

Debiut Zbigniewa Uniłowskiego p. t. „Wspólny pokój", powieść z życia najmłodszych literatów warszawskich, została skonfiskowana przez cenzurę natychmiast po ukazaniu się, z powodu obraźliwych aluzji osobistych i drastycznych opisów. Mały skandal poprzedził swym rozgłosem rzeczową ocenę tej interesującej książki.

Opieka nad pisarzem w Niemczech

Pomoc finansowa dla pisarza, narażonego w czasach obecnego kryzysu, zmniejszenia produkcji wydawniczej i czytelnictwa na wielkie trudności, ma w Niemczech wiele form i rozmaite źródła.

Największym mecenasem jest tu same społeczeństwo, dzięki któremu każdy członek „Schutzverband für Schriftsteller" może otrzymać w ciągu kilku minut, bez żadnych formalności, nagłą zapomogę w sumie 72 marek niemieckich, w biurze dobroczynności, najbliższem miejsca jego zamieszkania. Pozatem jeneralny sekretarjat Schillerstiftung w Jenie wysyła potrzebującym pisarzom zasiłki w sumie od 200 do 300 marek telegraficznie.

Burmistrz Berlina upoważniony jest do wydawania literatom zamieszkującym stolicę zapomóg od 200 do 1000 marek w nagłych i umotywowanych potrzebach. Prezydent Hindenburg wspomaga ze swego prywatnego budżetu 24 pisarzy stypendjami stumarkowemi, nie kierując się podobno w swym wyborze ani względami przekonań, ani wyznania.

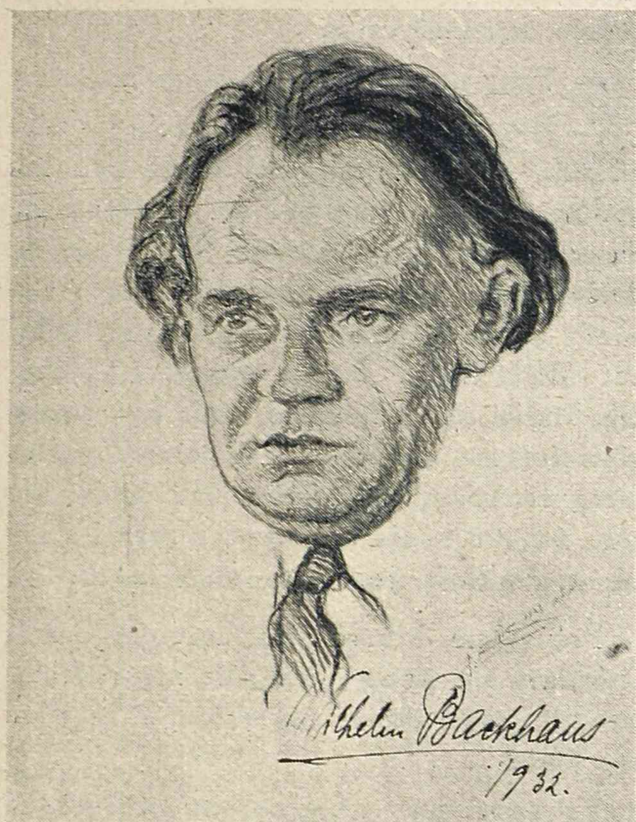
W kamienicy Firmy Rudolph Mosse na Jerusalemstrasse istnieją aż dwie kasy zapomogowe dla literatów. Jedna należy do sekcji literackiej Pressevereinu, druga nazywa się Messephone i udziela natychmiastowej pomocy w sumie zawsze tej samej: 30 marek, a można się do niej zwracać do trzech razy w roku. Wielki magazyn niemiecki Israelwarenhaus daje pisarzom pożyczki sześciomiesięczne od 40 do 100 marek, na weksle, których płatności nie poszukuje się nigdy na drodze sądowej.

Na Flawelstrasse istnieje „Zentrale fur priwate Fürsorge", podtrzymująca tylko uczonych i pisarzy, którzy wyczerpali już wszystkie możliwości i nie mogą znaleźć pomocy gdzieindziej.

Opiekę nad pisarzem roztaczają także związki zawodowe, partje polityczne, które wspierają swych piszących członków, oraz gminy wyznaniowe. W książce telefonicznej, przy numerze towarzystwa „Fürsorge fur ewangelische Schriftsteller" jest nawet wskazówka, jak i do kogo telefonować, gdy pieniądze okażą się nagle potrzebne po 10 godzinie wieczorem.

TYDZIEŃ MUZYCZNY

Ostatni tydzień przeszedł w *Filharmonji* pod znakiem Wilhelma Backhausa. Na piątkowym symfonicznym grał znakomity mistrz fortepianu koncert Brahmsa. Na niedzielnym recitalu — dwie sonaty Beethovena, warjacje Brahmsa (Paganini) i kilka utworów Chopina. Objektywizm artysty dosięgnął szczytów. Natężenie tonu — również. Chciałoby się aż chwilami mniej doskonałości... Rzadko się zdarza, by Chopin w wykonaniu niemca tyle miał w sobie nastroju i skupienia.



WILHELM BACKHAUS



W *Konserwatorjum* usłyszeliśmy na szopenowskim koncercie p. Zofję Jaroszewiczową, doskonałą pianistkę, uczenicę prof. Turczyńskiego. Nokturn, dwa Mazurki i Ballada G wykonane były z wielką muzykalnością i poczuciem stylu.



ZOFJA JAROSZEWICZOWA

Trio belgijskie pp. Bosquet — fortepian. Dubois — skrzypce i Dambois — wiolonczela wykonali z najwyższą maestrią Brahmsa i Piernégo.

W *Radio* słyszeliśmy Iso Elinsona, jednego z pokrzywdzonych uczestników ostatniego konkursu szopenowskiego. Trzeba przyznać, że p. Elinson jest świetnym pianistą. Waldstein — sonata Beethovena, Ballada f i Polonez d wypadły znakomicie. Gorzej brzmiał Szubert i etiudy Chopina, ale może to z winy Radja.

M. K-l.

* Ś. p. Marja Ciechomska, wnuczka Ludwiki Jędrzejewiczowej, siostry Szopena, zmarła w tych dniach. Nazwisko zmarłej od kilku dziesiątków lat ściśle związane było z pojawianiem się każdej większej publikacji polskiej lub obcej, dotyczącej życia i sztuki Szopena. Ś. p. M. Ciechomska była bowiem w posiadaniu licznych pamiątek, jakie pozostały po nieśmiertelnym muzyku.

* Scenarjusz filmu p. t. „Beethoven i IX-ta Symfonja" został wykończony przez znanego pisarza Emila Ludwiga. Film będzie wkrótce zrealizowany. Znakomity pisarz, studjując od dłuższego czasu biografję Beethovena, podał w scenarjuszu syntezę ważniejszych momentów z życia genjalnego kompozytora.

* *Marxizm w muzyce.* XII symfonja kompozytora moskiewskiego Miaskowskiego nosi tytuł „Kołchoznaja", celem jej jest „przyczynienie się do podniesienia produkcji gospodarstw kolektywnych". Inny kompozytor, Krein, pisze dla uczczenia 15-lecia rewolucji październikowej kantatę symfoniczną w trzech częściach: w pierwszej zużytkowane będą teksty Marxa, w drugiej — Lenina, w trzeciej — Stalina.



ENRICO ROSSI-VECCHI, *młody utalentowany pianista włoski, po kilkumiesięcznym pobycie w Zakopanem u mistrza Petri'ego, wystąpił w Sali Konserwatorjum dn. 27 października — wraz z młodziutkim wiolonczelistą Amadeo Baldovino.*

GUSTAW OLECHOWSKI

POCZĄTEK...

(NOWELKA)

Wyjechaliśmy z Montrealu trzema samochodami i na jakiejś 15-ej czy 20-ej mili zatrzymaliśmy się w lasku klonowym tuż nad brzegiem rzeki św. Wawrzyńca. Plaża naturalna, ale jak na zamówienie.

Naprzód panie przebrały się w samochodach w kostjumy kąpielowe i nieprawdopodobne pidżamy, potem mężczyźni uczynili to samo. Panie rozpakowały przywiezione prowianty. Robi się na trawie kompletną zastawę na talerzach tekturowych do jednorazowego użytku i posiłek upływa przy szklance dobrego wina wśród flirtu, śmiechu i cudownych humorów, podnieconych obecnością pięknych kobiet w negliżach słoneczno-kąpielowych.

Siesta, cygaro czy papieros i — już zachód słońca.

Fantastycznie piękne są zachody kanadyjskie nad wodą.

Idziemy ku rzece, ale już nie tam, gdzie piaszczyste wybrzeże, lecz dalej, gdzie kamienie, granity, skały nadają otoczeniu ton dzikości i groźnego piękna.

Rozsiadamy się na głazach, pamiętających czasy prekambryjskie, na staruszkach w wieku lat kilkudziesięciu miljonów, jako że Kanada jest najstarszą stałą formacją globu, i — toniemy w zachwycie.

Przed nami majestat jednej z najpotężniejszych rzek świata, przestrzeń wody polinjowana kolorami — zielonym, różowym, fjoletowym, jakby malował kubista. Nie do wiary — ta ścisłość linji. Nikt nie wie, skąd to pochodzi, ta geometryczna demarkacja barw. Czy z prądów, czy z różnicy głębin, różnie załamujących światło. Słońca już niema, tylko pali się pół nieba cichym, chłodnym pożarem.

Z tamtej strony rzeki tłumi pożar czarna, nieregularna zastawa pasma gór niewysokich, wstęp do Alleganów, wycinanka na tle rozżarzonego nieboskłonu.

Uroczysty nastrój boskiego piękna opanował wszystkie nacje, bo wśród 20 osób naszego towarzystwa byli Kanadyjczycy francuskiego i angielskiego pochodzenia, Polacy, Belg, Szwajcar, Irlandczyk i Meksykańczyk.

Wreszcie jedna z uroczych francuskich Kanadyjek, słynnych wogóle z pięknych oczu i cery, a ta jeszcze miała dziwnie pieściwy głos i zlekka wprawdzie afektowaną, ale bardzo ładną wymowę, zaproponowała, by każdy opowiedział pierwsze swoje wzruszenie miłosne.

Nikt się jakoś nie kwapił. Kobiety — o dziwo — milczały. Jeden z panów, cynik, powiada, że są rzeczy, które się robi, ale o których się nie mówi, inny się przyznał, że nie pamięta nawet ostatniego wzruszenia, a cóż tu mówić o pierwszem, wreszcie ja, wiedząc, że inicjatorem takiej zabawy towarzyskiej jest zawsze ten, kto sam ma ochotę opowiedzieć przygotowaną efektowną scenkę, nalegałem, by dama dała przykład.

Kazała się naturalnie prosić, ale uległa.

— Miałam lat 15, gdy pojechałam do Europy po raz pierwszy w życiu, z mamą. Zatrzymałyśmy się w Wenecji. Byłam podobno ładna (była napewno czarująca, bo jeszcze dziś po 25 latach jest śliczna. — Przyp. aut.) i podobno zupełnie już sformowana.

Jednej niedzieli mamę głowa bolała, więc pozwoliła mi samej jechać gondolą do kościoła na mszę. Zawsze odznaczałam się pobożnością.

Czy mam mówić, że byłam najniewinniejszą gąską, o świecie i życiu myślałam, że jest bajką, mężczyzna mógł być dla mnie tatusiem, nauczycielem, księdzem, listonoszem, czwartym do zielonego stolika, doktorem, policjantem, ministrem, ale nie wiedziałam, by to mogło być coś innego. Nigdy się nad tem nie zastanawiałam.

Wsiadam do pierwszej gondoli i widzę, że z domu narożnego wyszedł jakiś młody pan i wskakuje do następnej gondoli. Spojrzał jeszcze w okno, swego pewno, mieszkania... Wtem okno się otworzyło, stanęła w niem młoda, ładna kobieta, trzymając w ręku żółtą różę. Wychyliła się przez parapet, pocałowała kwiat i rzuciła go panu do gondoli. Ów rozpromienił się, podniósł różę, ucałował ją i przesunął w dziurkę na klapie marynarki.

Nagle poczułam, że otworzyły się przedemną jakieś zaczarowane wrota i ujrzałam — szczęście.

Bałam się nawet w myśli użyć słów do wypowiedzenia sobie tego, co czułam.

Byłam oczarowana tą sceną, pochłonięta, omdlewałam z rozkoszy wyczucia, że to pewno jest właśnie miłość, że ci dwoje kochają się, ach, jakże to jest piękne, jakie dobre, jakie rozkoszne, błogie, to jest właśnie to, czego nie znałam, ale co serduszko moje już, już przeczuwało, ujrzałam to, poznałam, pokochałam taką miłość, ich obydwoje, ich okno, ich dom i myślałam, że gdybym kiedy została „nią", umarłabym ze szczęścia.

Okno się zamknęło, gondola moja posuwała się szybko, ale mijała ją ta druga, w której siedział ów pan.

Nie wiem dziś sama, jak się to mogło stać, że spojrzałam na niego. Spłonęłam. On także patrzał na mnie.

Odwróciłam głowę.

Ale już trzeba było wysiąść.

Idę do kościoła, naraz słyszę — tuż obok mnie ktoś kroczy i mówi.

Nie rozumiałam po włosku.

Wtem głos zaczyna brzmieć po francusku:

— Pani pewno cudzoziemka...

Nigdy tego nie zrozumiałam, jak mogłam mu odpowiedzieć i to w dodatku skłamać. Powiedziałam bowiem — zupełnie automatycznie:

— Tak, proszę pana, jestem angielką.

— Nie myliło mnie przeczucie — mówi on. — Tylko angielki mogą być tak piękne. Tylko angielki są aniołami na ziemi. Pani, jesteś boska. Widzę cię od dziesięciu minut, ale ubóstwiam cię. Powiedz słowo, a padnę przed tobą na kolana. Bądź moją. Rzucę wszystko, Wenecję, Italję, żonę, dziecko, chcę być twoim niewolnikiem, modlić się do ciebie, jesteś samą rozkoszą, pachniesz, jak wszystkie róże świata, twoje ciało jest z rosy i słońca, ja oszaleję, jeżeli cię mieć nie będę...

Pobiegłam kłusem do kościoła, przeciskałam się przez tłum jak nieprzytomna, aż przed ołtarz, uklękłam i zalałam się łzami.

To były łzy rozpaczy, bo w jednym momencie poznałam wszystko... Całą okropność...

Piękna pani zamilkła.

Panie wzdychały. Panowie mieli głupie miny. Wszyscy współczuli „panience" i wstyd nam trochę było za tego włocha.

Istotnie — przerażający skrót życia... W kilkanaście minut przeżyć cały, ogromny, długi dramat pierwszego zachwytu i okrutnego rozczarowania...

Ciemniało...

Trzeba było wracać do miasta...

Szliśmy do samochodów, by się przebrać.

Siadamy.

Sama prowadzi auto. Mam miejsce koło niej. Długie milczenie...

W pewnym momencie nachyla się do mnie i mówi cichutko i tak, jakby kończyła opowiadanie:

— Ale od tej chwili zaczęliście mnie interesować, szatany...

KWADRANSIK Z ARTYSTĄ

czyli opis własnemi słowami zwyczajów i obyczajów sławnych ludzi.

6. FERDYNAND GOETEL

W jasne, jesienne południe odwiedził mnie osobiście pisarz znakomity, Pen-klubu prezes, czcigodny i wszechstronnie sympatyczny człowiek: Ferdynand Goetel.

— Cóż to, do kata, — krzyknie czytelnik — miły i miły! Jeden sławny człowiek milszy od drugiego... Czy to naprawdę niema między nimi ani jednego antypatycznego?

Pewnie, że są i w liczbie niemałej, ale trzeba zrozumieć: nie będę się ubiegała o wywiady wielkości nieprzyjemnych!

...Więc przyszedł pan Goetel, siadł, ziewnął zlekka i zasępił się. On też, powiada, niewyspany dziś i mętny dzień ma, bo w nocy fetę sanacyjną gdzieś sprawiali i mozolnie pracowano nad wzmożeniem dochodów z monopolu spirytusowego.

Proszę nieśmiało p. Goetla, aby mi coś o Indjach opowiedział. Kiedy ukaże się jego książka o tej podróży? Sama kiedyś zajmowałam się sanskrytycyzmem, chociaż nie mogłam dorozumieć się nigdy, na co to komu może być potrzebne.

P. Goetel wyjaśnia, że podróż do Indji jest konieczną dla zrozumienia świata, że jest dziś dla artysty tem, czem niegdyś była podróż do Włoch.

Książka ukaże się u Gebethnera, prawdopodobnie już na gwiazdkę.

— Rozmawiał pan z Rabinem Tagore? Polował pan w dżungli na tygrysy?

— Tagore był w Ameryce, a dżungli niema.



„...bez Indji nie moglibym zrozumieć świata“ (Goetel)
(Fotomontaż autorki)

— Jakto niema — obraziłam się — więc Kipling, to blaga?

— Z Indji Kiplinga nic nie zostało.

— O Boże! — myślę, — sic transit Gloria Swanson...

W dalszym ciągu zasypuję prezesa Pen-Klubu stekiem pytań:

— Jakiego pisarza czytuje najchętniej? Czy woli humor rosyjski, czy angielski? Co myśli o sporcie, czy pojedzie także do Japonji? Jak długo pisze jedną książkę, gdzie spędził wakacje i co robi w chwilach wolnych od pracy literackiej?

Odpowiada, że lubi Hamsuna, oczywiście woli humor angielski, że sława i popularność gwiazd sportowych stała się w jego mniemaniu nienormalna, a to hyperzainteresowanie mas sportem tłomaczy sobie tem, że karjera sportowa dostępna jest dla ludzi każdej sfery i każdego poziomu, a nawet poniżej każdego poziomu. Na Wschód p. Goetel nie pojedzie, jedną książkę pisze mniej więcej co rok, wakacje spędził w Druskienikach, a w chwilach wolnych od pracy literackiej wyczynia rozmaite rzeczy, jednak nie chciał odsłonić, jakie. Wiadomo — zcichapenklub.

— A ile latek wogóle liczy sobie pan prezes?

Spojrzał taktownie i powiedział, że czterdzieści dwa. Od dziesięciu lat pisze książki, a od roku gra na fortepianie.

Aha, jeszcze jedno powiedział:

— Nieprawdą jest, jakoby teatr i powieść przeżyły się, natomiast prawdą jest, że będą trwały.

Owszem. P. Krzywoszewski też będzie rad.

Julja Keilowa



ZNAKOMITY ŚPIEWAK SZALAPIN W ROLI TYTUŁOWEJ FILMU DŹWIĘKOWEGO „DON KISZOT"



B. KSIĄŻE AUGUST WILHELM, CZWARTY SYN EX-KAIZERA, W ROLI AGITATORA HITLEROWSKIEGO

SPORT

Nieudana wyprawa do Włoch

Ponieśliśmy dotkliwą porażkę w Neapolu i Genui, dokąd udała się reprezentacyjna drużyna „footballowa" polska, aby uświetnić swoją obecnością igrzyska, urządzane z powodu dziesięciolecia panowania faszyzmu we Włoszech. Graliśmy z podrzędnemi drużynami włoskiemi, z regjonalnemi reprezentacjami, a mimo to pobito nas bardzo dotkliwie: 5 : 1 w Genui, 3 : 0 w Neapolu.

Czy nie zdawano sobie sprawy z tego, że nie możemy się popisać we Włoszech, gdzie dopiero rozpoczął się sezon piłkarski, gdzie gracze są wypoczęci i w doskonałej formie po letniej zaprawie, podczas gdy nasi już są przemęczeni całym długim sezonem? Poco zresztą wysyłano tam drużynę polską? Na polityczne manifestacje? Na regjonalne zawody o znaczeniu lokalnem?

Możnaby szpalty całe wypełnić pytaniami pod adresem naszych władz piłkarskich. Jednego nie możemy pominąć: czy wolno było na tę imprezę wydawać pieniądze, których brak wszędzie, i w samym PZPN, i w wydziale propagandy MSZ i w innych instytucjach zajmujących się krzewieniem sportu i wychowania fizycznego?

Curiosa teatralna

We Lwowie w Teatrze Wielkim wystawiono z wielkim nakładem pracy dramat Słowackiego „Samuel Zborowski". Prasa przyjęła widowisko z wyróżnieniem. Zagrano je 2 czy 3 razy. Ostatniego wieczora kasa nie sprzedała *ani jednego biletu*.

Nieprawdopodobne, a jednak — podobno — prawdziwe.

*

Na słupach afiszowych w stolicy i na szpaltach pism ukazało się następujące ogłoszenie:

„Opera - Buffo. Teatr za darmo. Od 4-go rzędu wszystkie miejsca *bezpłatnie*..."

Ogłoszenie ukazało się w tydzień po otwarciu teatru.

*

Trzecie *curiosum* już weselsze...

Wystawiono na scenie jednego z teatrów warszawskich głośną zagranicą, graną z powodzeniem na wszystkich scenach w Polsce — farsę.

„...*niezła farsa*, wykraczająca nareszcie po za trójkąty i siedmioboki małżeńskie. Sztuka jest wcale *przednią satyrą* na stosunki dyplomatyczne..." — pisze jeden z krytyków poczytnego pisma codziennego.

A drugi niemniej poczytny:

„Teatr... wystawił *najbzdurniejszą sztukę*, jaką się zdarzało oglądać na przestrzeni lat, conajmniej, dwudziestu pięciu..."

Humor teatralny

Z powodu wystawienia w jednym z teatrów stołecznych wielkiego widowiska stylowego opowiadają sobie, że...

„...aktor miał nos do roli, ale dyrekcja nie miała nosa do sztuki".

*

Na inauguracyjnem widowisku nowego teatru w stolicy było niezwykle zimno. Widzowie wręcz dygotali — taki był ziąb na sali. Gdy się kurtyna unosiła, powiewało od sceny — lodem...

— Dobrze — powiada ktoś — ale po co ci Górale przywieźli ze sobą wiatr halny?

Ś. p. Feliks Wojewódzki

Rolnictwo polskie poniosło wielką stratę wskutek przedwczesnego zgonu ś. p. Feliksa Wojewódzkiego, zasłużonego ekonomisty i propagatora idei polskiego handlu płodami rolniczemi.

Ś. p. Feliks Wojewódzki urodził się w r. 1876 i po odbyciu studjów w szkołach średnich, wstąpił do Instytutu Gospodarstwa Wiejskiego w Puławach, który ukończył w r. 1898 z dyplomem agronoma I-go stopnia. Uzupełniwszy studja fachowe zagranicą, zmarły z wielkiem zamiłowaniem poświęcił się pracy w dziedzinie ekonomiki, rolnictwa i handlu rolniczego, oddając rolnictwu polskiemu wielkie usługi. Już w r. 1911, zakłada sp. z ogr. odp. „Syndykat ziemniaczany", który pod jego



kierownictwem rozwijał się pomyślnie, organizując handel ziemniakami w kraju i eksport zagraniczny. Wojna europejska, przerwała tę pożyteczną działalność instytucji, której brak dotąd jeszcze odczuwać się daje.

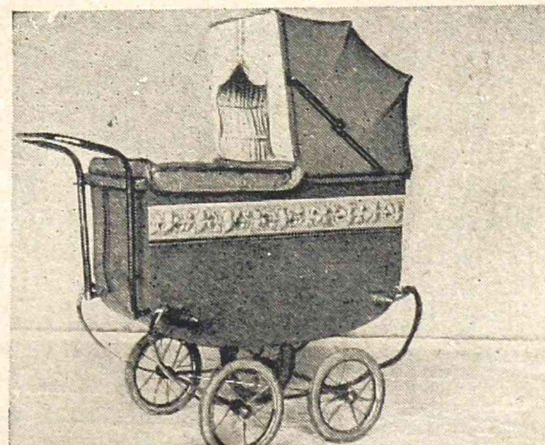
W okresie wojennym i powojennym ś. p. Feliks Wojewódzki piastował stanowisko dyrektora Związków Ziemian w Warszawie, następnie Naczelnego Dyrektora Banku Związków Ziemian, w ostatnich zaś czasach poświęcał swą wiedzę fachową pracy nad zwalczaniem kryzysu rolnego, wysuwając, jako jeden ze środków zaradczych, ideę międzynarodowej kartelizacji produkcji zbóż, w szczególności pszenicy i dążył do zorganizowania w tym celu Międzynarodowego Banku Zbożowego.

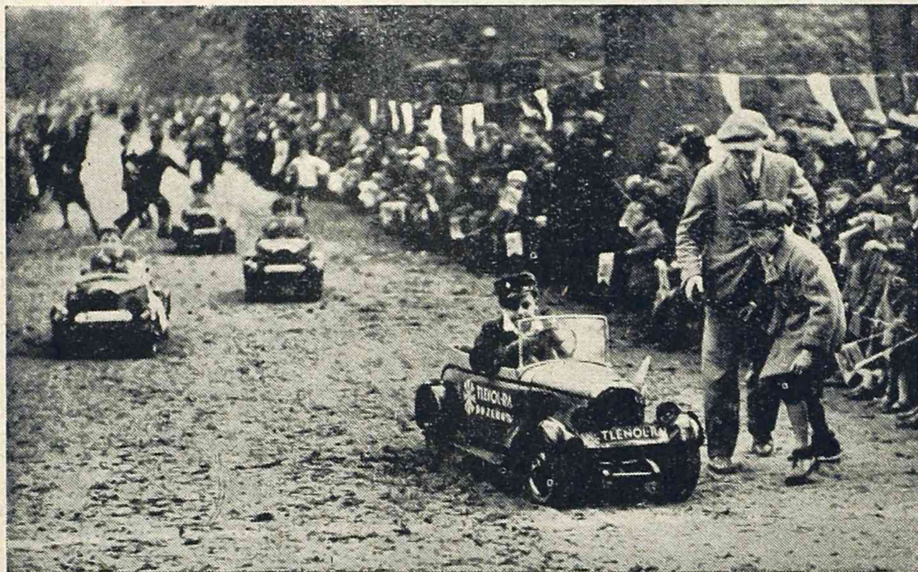
Tej sprawie oddał się z wielkim zapałem i propagował szeroko swe myśli w kraju i zagranicą, wygłaszając odczyty i wydając publikacje w językach: polskim, angielskim („A world farmers' federation, Au international grain bank") i francuskim („Projet d'un cartel international des producteurs froment". Niestety, nie sądzonem Mu było doczekać choć częściowej realizacji tych świetnych planów.

W ostatnim roku ś. p. Feliks Wojewódzki objął redakcję wydawnictwa koleżeńskiego: „Pamiętniki Puławskie" i z wrodzoną sobie pracowitością i pietyzmem przystąpił do tych nowych obowiązków. Niezbadane wyroki Boskie przerwały nić Jego pracowitego życia.

Ś. p. Feliks Wojewódzki odszedł w pełni sił męskich, pozostawiając głęboki żal wśród wszystkich, którzy go znali i mieli możność z nim współpracować. Jego miła i ujmująca postać, wysoka kultura ducha i umysłu, wielka uczynność, serce szlachetne i wyjątkowe zamiłowanie w pracy społecznej — wzniosły Mu trwały pomnik w sercach ludzkich i w pamięci licznych przyjaciół.

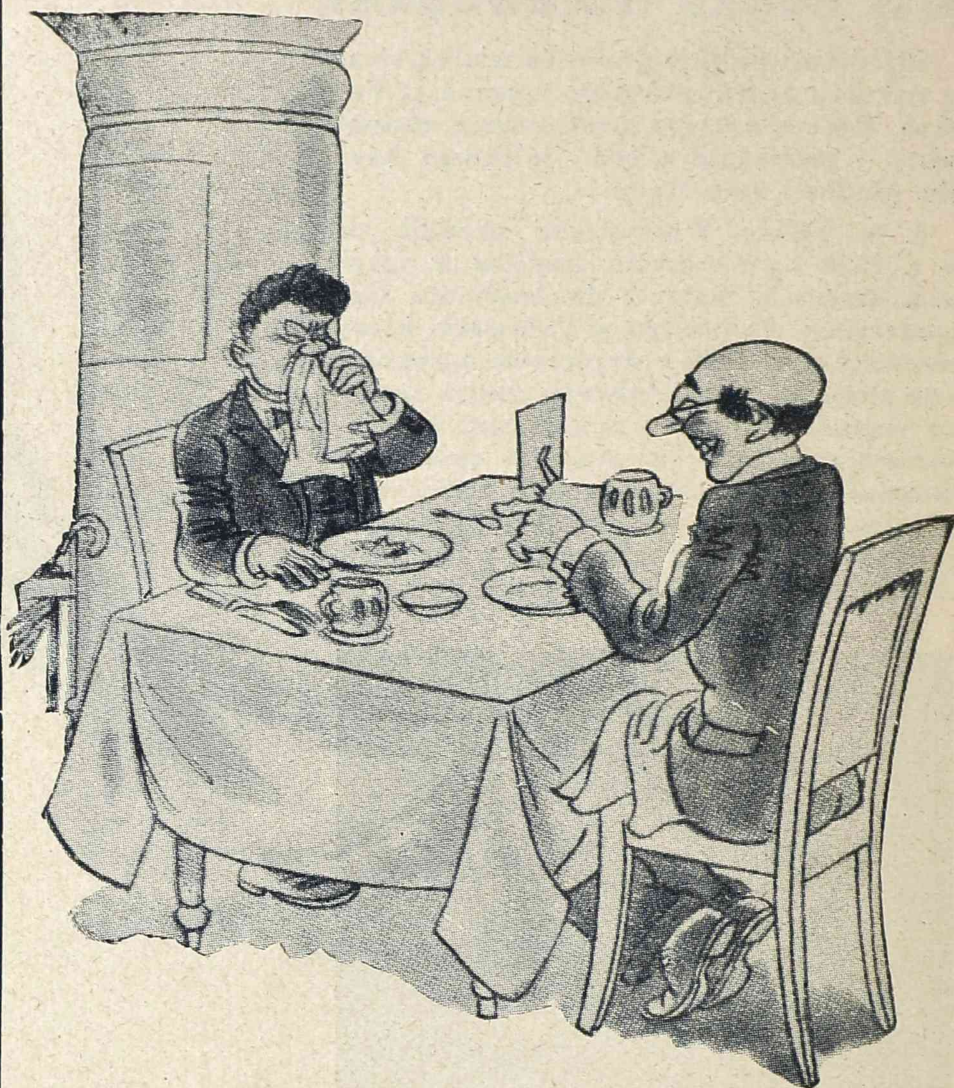
Cześć Jego świetlanej pamięci!





W Łazienkach na dochód L. O. P. P. odbyły się pierwszy raz w Polsce, wyścigi dzieci na motorowych samochodzikach, organizowane przez ruchliwą firmę Laboratorjum Chemiczne „Stefan Rogiński i S-ka" dla propagandy znanych preparatów do pielęgnowania zębów i ust „TLENOL-RA". Uczestniczyło około 50 zawodników, z których pierwszą nagrodę otrzymał p. Zdzisław Godlewski, drugą — p. Janusz Kowalewski, trzecią — p. Ryszard Dawidson.

HUMOR POLSKI



— **Jak panu smakował obiad?**

— **Dziękuję, nadzwyczajnie!**

— **Teraz już mogę panu zdradzić, że wszystkie potrawy były z koniny.**

— **Jakto! i kompot także?**

Z dziedziny kosmetyki

P. Annie: Włosy rozjaśni i nada im śliczny złocisty odcień *płyn Hella*. Łupież usunie pani już w ciągu 2-ch, 3-ch dni stosując Tetral-Perfection, który nie tylko, że wygubi łupież, ale i zapobiegnie wypadaniu włosów.

Ciekawej: Do trwałego przyciemnienia brwi, radzimy stosować płyn *Hennolinę do brwi*, który się nie zmywa i dłuższy czas utrzymuje żądany kolor. Zamiast pomadki do ust, która jest tłustą i łatwo się ściera, radzę stosować płyn *Roseine*, który się nie zmywa w ciągu paru godzin, i na dłuższy czas, ożywia usteczka.

Wdzięcznej: Dziękując za zaufanie z którym ponownie zwraca się pani do nas, radzimy nie przerywać używania *kremu Abarid*, który Pani tak świetnie posłużył, gdyż tkankę skóry trzeba odżywiać stale, aby zapobiedz tworzeniu się zmarszczek. Naturalnie do mycia używać tylko *Otrąbki Abarid*, które doskonale oczyszczają pory. Pudrować nietłustym *Pudrem Abaridowym*. Wszystkie zabiegi najlepiej stosować wieczorem, a prócz tego, *Krem i puder Abarid przed* wyjściem na powietrze.

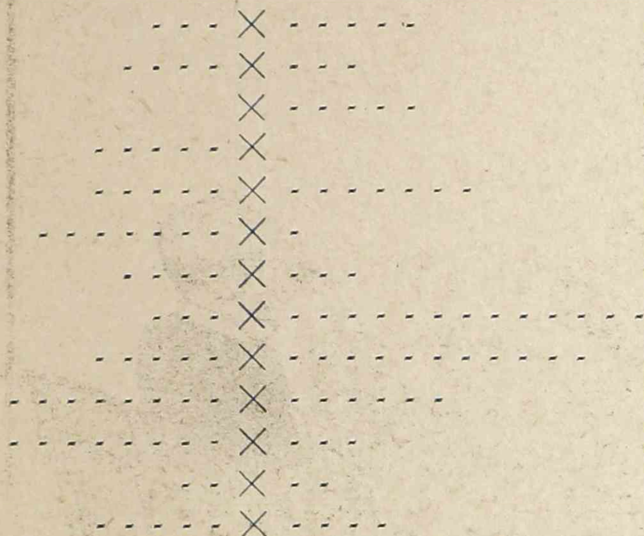
P. Halinie M.: Najlepszy do codziennego użytku będzie *Krem Abarid*. Jeżeli jednak ma Pani suchą cerę, to radzę stosować wśród dnia, szczególniej pod puder *Krem Seta*. Ręce wygładzi Pani i zapobiegnie ich odmrożeniu, stosując *Krem Prałatów*. Lepszego środka do rąk nad Krem Prałatów nie ma. Jeżeli idzie o wybielenie rąk, to na noc, po natarciu *Kremem Prałatów* grubo przypudrować je, wybielającym pyłkiem *Juvenia Candida*, i włożyć luźne niciane rękawiczki.

Palaczce: Śnieżnej białości zęby będzie Pani miała zawsze, pomimo palenia, o ile zastosuje Pani do mycia rano i na noc, wybielający proszek *Albol. M-e Ercedès.*

ROZRYWKI UMYSŁOWE

№ 70 (173) Logogryf teatralny

(Za rozwiązanie 3 punkty).



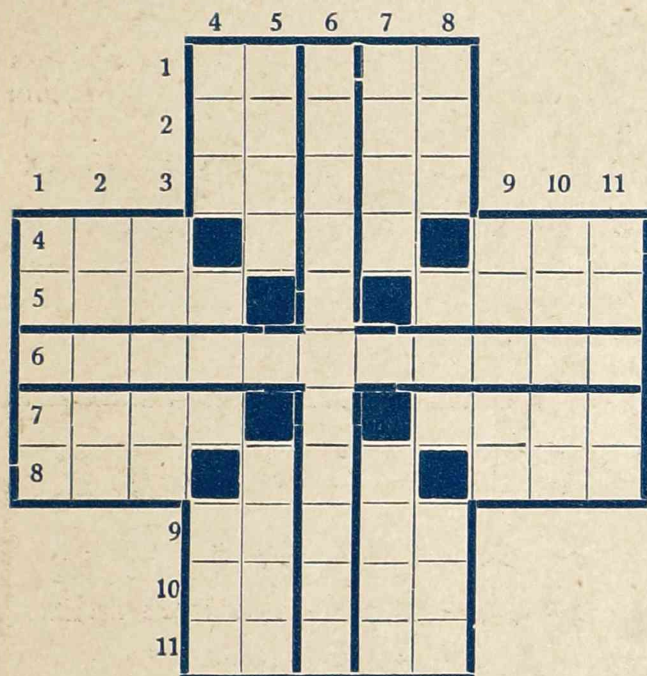
Znaczenie wyrazów: 1. Tragedja Szyllera. 2. Komedja Marshanda. 3. Komedja Fodora. 4. Dramat Forzana. 5. Komedja Rapackiego. 6. Komedja Szaniawskiego. 7. Komedja Verneuilla. 8. Komedja Miłaszewskiego. 9. Komedja Sheldona. 10. Komedja Wakefielda. 11. Komedja Commansia i Oxilia. 12. Komedja Pagnola. 13. Komedja Winawera.

Litery oznaczone krzyżykami, czytane z góry na dół, dadzą tytuł wielkiego dramatu historycznego.

Dla ułatwienia rozwiązania naszym Czytelnikom, podajemy, że wszystkie te sztuki grane były w zeszłym sezonie w b. teatrach miejskich.

№ 71 (174) KRZYŻÓWKA

(Za rozwiązanie 5 punktów).



Znaczenie wyrazów:

Poziome: 1. Rodzaj powozów (wstecz). 2. Wolny koń. 3. Ozdoba sukni (wspak). 4. Zwierzę domowe — grecka litera (wspak) — wykonawca wyroku. 5. Rodzaj dywanu — samogłoska — rodzaj kaszy. 6. Wasze hasło. 7. Cyfra — spółgłoska — imię żydowskie. 8. Miasto w Prusach Wsch. — imię biblijne — kwiat (wspak). 9. Nóż indyjski. 10. Imię kobiece. 11. Bożek germański.

Pionowe: 1. Mała kaczka. 2. Ptak. 3. Zaimek — lody (wspak). 4. Zdrobniałe imię żeńskie — liczba — napój aromatyczny (bez ostatniej litery). 5. Imię kobiece — samogłoska — gatunek papierosów. 6. Wasze hasło. 7. Rodzaj zboża — spółgłoska — imię gwiazdy filmowej. 8. Trzy spółgłoski — trzy spółgłoski — przyjaciel Mickiewicza. 9. Rodzaj łódki. 10. Roślina południowa. 11. Inaczej talizman.

Słowa objęte grubemi linjami dadzą rozwiązanie.

№ 72 (175) Czy umiemy dodawać?

(Za rozwiązanie 2 punkty).

Dodać osiem ósemek w ten sposób, aby suma cyfr dała tysiąc. W zadaniu tem nie wolno posługiwać się żadnemi innemi działaniami.

Brydż

Wartość renonsów i wicerenonsów

Któż nie chciałby, odkrywszy karty, ujrzeć mnóstwa asów, królów i innych honorów zamiast zbieraniny blotek... Angielscy eksperci twierdzą, że to bogactwo prowadzi czasem na manowce niepewnej kontry, podczas gdy niedocenianie wartości młódek i długich atutów wstrzymuje nas wtedy, kiedy obowiązkiem byłoby podtrzymywać partnera.

W obronie swojej teorji posuwają się nawet do nieco przesadnego obliczania wartości renonsów, n. p.: Renons równa się asowi, królowi i damie, wicerenons asowi i królowi i nawet dwie tylko karty w jednym kolorze stawiają na równi z asem. Naturalnie, zawsze w przypuszczeniu, że partnerzy razem rozporządzają znaczną ilością atutów.

Dajemy poniżej przykład niewyzyskania dobrej, choć „pustej" karty „dziadka".

Y: ♠ 9, 8, 7, 6, 5; ♥ nic; ♦ 8, 4; ♣ 9, 7, 6, 4, 3, 2

A: ♠ D, 3; ♥ A, K, D, W, 9, 4, 2; ♦ W, 10, 7; ♣ A

B: ♠ 10, 2; ♥ 10, 6, 5; ♦ A, D, 6, 5, 3, 2; ♣ W, 8

Z: ♠ A, K, W, 4; ♥ 8, 7, 3; ♦ K, 9; ♣ K, D, 10, 5

Obie strony są po partji. Na drugą manszę obie nie zapisały jeszcze nic. Z deklaruje Piki. A. 3 Kiery, Y. 3 Piki, B. 4 Karo, Z. pass, A. 4 Kiery. A. naturalnie wygrał. Błąd popełnił Y., który przeoczył możliwości w swych kartach. Mógł podnieść do 4, a nawet do 5 Pik. Bał się swej mizerki, ale gdyby zamiast renonsu miał Asa, króla Kier etc., byłby z pewnością podniósł swego partnera. Naturalnie, że nie zawsze Y. i X. byliby znaleźli rozkład tak idealny. Gdyby Z. grał Piki, oddałby w najgorszym razie 3 lewy, w najlepszym tylko jedną lub dwie — zależnie od zagrania. Trzy — jeżeli A. zagrywa Asa Trefl, potem Karo, a B mu odgrywa Trefl, które on przebija. Jeżeli zaś A. zagra swój kolor Kier, to doszedłszy do ręki asem Tref, ma tylko jedną szansę zrobienia drugiej lewy, grając zaraz Karo.

Renons w ręku grającego nie jest rzeczą tak korzystną, jak w ręku „dziadka", bo dwa razy jednego atuta nie można zrobić. Co innego, jeżeli grający posiada 6 lub więcej atutów.

Jak wartościowemi mogą być wicerenonsy, a nawet 2 karty w tym samym kolorze, widzimy z rozgrywki podanej przez p. Milton Work, a rozegranej w Ameryce przy 2 stolikach. Obie strony są po manszy, nie mając nic na drugą.

Y: ♠ 8, 4; ♥ 9, 8, 7, 3, 2; ♦ 3; ♣ 8, 7, 6, 5, 3

A: ♠ A, K, D, 10; ♥ nic; ♦ A, K, D, 6, 5; ♣ A, K, D, W

B: ♠ W, 9, 7, 6, 3, 2; ♥ 4; ♦ 7, 4, 2; ♣ 10, 9, 2

Z: ♠ 5; ♥ A, K, D, W, 10, 6, 5; ♦ W, 10, 9, 8; ♣ 4

Przy pierwszym stoliku Z. odrazu zapowiedział 4 Kier. Naturalnie A. dał kontrę. Z. wygrał oddając tylko 1 Pik, 1 Karo i 1 Trefl, pomimo, że miał mizerkę u „dziadka".

Przy drugim stoliku Z. również rozpoczął od 4 Kier. A. domyślając się rozkładu kart, zapowiedzią 5 Kier wymusił na partnerze pokazanie koloru, jednocześnie pokazując swój renons w kierach. B. odpowiedział, zapowiadając 5 Pik, A. szlem w Piki. Z. kontrował. A. rekontrował: B. i A. dograli, zapisując ogromną sumę. Również dobrze mógł A. zmusić partnera, stosując się do innej konwencji amerykańskiej i zapowiadając po 4 Kierach 4 bez atu.

Czy warto

wydać 5 złotych miesięcznie, by mieć

1) co tydzień interesujące pismo ilustrowane, zawierające aktualne informacje, ciekawe felietony i nowele, rozrywki umysłowe, opisy podróży egzotycznych i t. d.

2) co tydzień bilet do b. teatrów miejskich w Warszawie za pół ceny!

3) co miesiąc duży tom doskonałej powieści.

zastanów się

i dziś jeszcze zostań prenumeratorem „Świata"

HUMOR POLSKI



YO-YO

Rys. J. Zaruba — „Cyrulik Warszawski"

CENY PRENUMERATY: w Warszawie odbiór na miejscu miesięcznie 5.— zł., kwart. 15.— zł., z odnoszeniem do domu mies. 5.50 zł., kwart. 16.50 zł., na prowincji mies. 6.— zł., kwart. 18.— zł. Zagranicą mies. 8.— zł., kwart. 24.— zł., półr. 48.— zł., rocznie 96.— zł.

PRENUMERATĘ „ŚWIATA" PRZYJMUJĄ: w WARSZAWIE: Administracja „Świata", Szpitalna 12. Telefon Administracji 504-00 i 501-51. Konto czekowe P. K. O. 3755 oraz wszystkie większe księgarnie. W ŁODZI: biuro dzienników i ogłoszeń „PROMIEŃ", Piotrkowska 81. Księgarnia „Czytaj", Narutowicza 2. Księgarnia Ludwika Fiszera, Piotrkowska 47. W KATOWICACH: Księgarnia Ludwika Fiszera, Poprzeczna 1. We LWOWIE: Oddział Tow. „Ruch". POZNAŃ: Gwarna 16.

CENA NUMERU W WARSZAWIE I NA PROWINCJI 1 zł.

Redaktor *St. Krzywoszewski.* Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk. Galewski i Dau, Warszawa.

P